

ROBERT LOUIS STEVENSON

WYSPA SKARBÓW

Robert Louis Stevenson

Wyspa skarbów

«Public Domain»

Stevenson R.

Wyspa skarbów / R. Stevenson — «Public Domain»,

Do karczmy, w której pracuje Jim, przybywa stary kapitan z tajemniczą skrzynią. Gdy mężczyzna umiera, chłopak postanawia sprawdzić, co znajduje się w skrzyni. W ten sposób Jim wchodzi w posiadanie mapy prowadzącej do skarbu. Wkrótce postanawia zorganizować wyprawę po skarb, którego poszukują również dawni towarzysze zmarłego. Powieść Roberta Louisa Stevensona została wydana po raz pierwszy w 1883 roku. Wcześniej była publikowana w odcinkach na łamach czasopisma dla dzieci „Young Folks”. Wielokrotnie ekranizowana i wznawiana stała się jedną z najbardziej znanych opowieści o piratach, a także nieprzerwanie obowiązującym wzorcem dla wielu kolejnych historii o tej tematyce.

© Stevenson R.

© Public Domain

Содержание

Do wahającego się czytelnika	5
Część pierwsza. Stary Korsarz	6
I. Stary wilk morski w gospodzie „Pod Admiralem Benbow”	6
II. Zjawia się „Czarny Pies” i – znika	10
III. Czarna plama	14
IV. Skrzynia marynarska	18
V. Dokończenie opowieści o ślepym żebraku	22
VI. Papiery kapitana	25
Część druga. Kucharz okrętowy	29
VII. Jadę do Bristolu	29
VIII. „Pod Lunetą”	33
IX. Proch i broń	36
Конец ознакомительного фрагмента.	37

Robert Louis Stevenson

Wyspa skarbów

Do wahającego się czytelnika¹

Jeśli w te wszystkie morskie opowieści,
gdzie chłód, tropiki, przygody i szkwały,
krwawi korsarze i ukryte skarby,
błądny kurs, statek i wyspa się mieści,

jeśli w tę starą bajkę, co do słowa
według zwyczajów dawnych powtórzoną,
dzisiejsza trzeźwa i rozważna młodzież
wsłucha się, jak ja niegdyś, zachwycona

– To niech tak będzie, i dajcie się porwać!
Lecz gdyby dzisiaj chłopcy nie czytali
dzieł Ballantyne'a, Coopera, Kingstona,
bo zapomnieli, jak im smakowały

tamte historie z morza albo z lasów,
niech i tak będzie. A mnie pozostanie
podzielić los ich i wraz z piratami
lec w zapomnieniu pośród dawnych skarbów.

R. L. S.

¹ *Do wahającego się czytelnika* – tłumaczenie Dorota Kowalska i Paweł Koziół. [przypis edytorski]

Część pierwsza. Stary Korsarz

I. Stary wilk morski w gospodzie „Pod Admiralem Benbow”

Kilka osób, między innymi wielmożny pan Trelawney i doktor Livesey, zwracało się do mnie z prośbą, żebym spisał od początku do końca wszystkie szczegóły i zdarzenia odnoszące się do Wyspy Skarbów, nie pomijając niczego oprócz położenia samej wyspy, a to dlatego, że znajduje się tam skarb dotychczas jeszcze niewydobyty. A więc dziś, roku Pańskiego 17..., biorę pióro do ręki i cofam się do czasów, gdy mój ojciec prowadził gospodę „Pod Admiralem Benbow” i gdy pod naszym dachem rozgościł się stary, ogorzały marynarz z blizną od szabli.

Dokładnie, jakby to było wczoraj, pamiętam tę chwilę, gdy ów człowiek przywłókł się przed drzwi gospody, a za nim przytarabaniła się na wózku ręcznym jego skrzynia marynarska. Był to mężczyzna rostry, muskularny, ciężki, o orzechowobrunatnej twarzy. Na barki, przyodziane w brudny, niegdyś błękitny kubrak, spadał mu harcap² jakby w dziegciu³ unurzany. Ręce chropowate i popękane kończyły się czarnymi i połamanymi paznokciami, w poprzek policzka blade przeświecała brudnosiną kresą – znak od szabli. Pamiętam, jak rozglądał się dokoła po zatoce i według swego zwyczaju pogwizdywał, aż wybuchnął głośno starą piosenką żeglarską, którą później śpiewał tak często:

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni —
Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Głos miał przeraźliwy, choć trzęsący się od starości, rzekłbyś, że go strojono i stargano na kołowrocie kotwicy.

Po chwili zapukał do drzwi jakimś podobnym do lewara kawałkiem kija, którym się podpierał, a kiedy się ukazał mój ojciec, przybysz szorstkim głosem zażądał szklanki rumu. Gdy mu ją przyniesiono, zaczął pić powoli, jak znawca, delektując się smakiem, a przy tym ciągle spozierając na skały wokoło i na szyld naszej karczmy.

– Wygodna zatoka – przemówił w końcu – a karczma pięknie położona. Dużo miewacie gości, kamracie?

Ojciec odpowiedział, że bardzo niewiele, niestety.

– Doskonale! – rzekł przybysz – to wymarzona przystań dla mnie! Hej no, człowieku! – zawołał na tego, który przywiózł jego rzeczy – chodź no ze mną na górę i przydźwigaj skrzynię!

I ciągnął dalej:

– Zatrzymam się tu czas jakiś. Jestem człowiekiem skromnych wymagań. Do szczęścia wystarczy mi rum, boczek i jaja, no i głowa na karku, żebym mógł wypatrywać okręty na morzu. Jak macie mnie tytułować? Wolno wam nazywać mnie kapitanem. Ech, już widzę, jak wam bardzo chodzi – o to...

Rzucił na próg kilka złotych monet.

– Kiedy już to wszystko przejem i przepiję, to mi powiedzcie! – rzekł spoglądając tak surowo, jakby był naszym zwierzchnikiem.

² *harcap* – warkocz noszony w XVIII w. przez żołnierzy dla ochrony karku przed uderzeniem. [przypis redakcyjny]

³ *dziegieć* – substancja o lepkiej konsystencji i brunatnej barwie, uzyskiwana przez wytapianie w specjalnych smolarniach z kory drzew (brzozy, buku a. sosny); była wykorzystywana do celów leczniczych oraz np. do impregnacji materiałów czy uszczelniania beczek. [przypis edytorski]

W istocie, mimo kiepskiego odzienia i niewytwornego sposobu wyrażania się, nie miał wyglądu ciury okrętowego, lecz znać po nim było starszego marynarza czy szypra, przyzwyczajonego do znajdowania posłuchu i karcenia. Człowiek, który przybył z wózkiem, opowiedział nam, że ów gość poprzedniego dnia wysiadł z dylizansu przed „Royal Georgem” i wypytywał, jakie gospody znajdują się na naszym wybrzeżu; ponieważ jak przypuszczam, o naszej gospodzie mówiono dobrze i wspomniano, że leży na uboczu, wybrał ją więc na miejsce zamieszkania. Tylko tyle zdołaliśmy dowiedzieć się o naszym gościu.

Był to człowiek zazwyczaj bardzo milczący. Po całych dniach przebywał nad zatoką lub na skałach, z mosiężną lunetą. Co wieczór przesiadywał koło kominka w kącie pokoju bawialnego i popijał zawzięcie rum rozcieńczony wodą. Przeważnie nie odzywał się; gdy go zagadywano, rzucał spojrzenie nagłe i surowe i fukał przez nos jak róg okrętowy używany podczas mgły. Niebawem, jak my, tak i ludzie, którzy bywali w naszym domu, przekonali się, że należy go zostawić w spokoju. Co dzień, gdy wracał z włóczgi, pytał, czy nie przechodzili gościńcem jacy podróżnicy morscy. Zrazu myśleliśmy, że tęskni za ludźmi tego samego pokroju i dlatego wciąż o to pyta, później jednak zauważyliśmy, że właśnie od nich stronił. Ilekroć jakiś marynarz wstąpił pod „Admirała Benbow” (a czynili to od czasu do czasu niektórzy wybierając się do Bristolu drogą nadmorską), kapitan zawsze przyglądał mu się przez zasłonięte drzwi, zanim wszedł do izby gościnnej; w obecności takiego człowieka zawsze siedział cicho jak trusia. Co do tego przynajmniej ja nie miałem wątpliwości, gdyż do pewnego stopnia sam podzielałem niepokój kapitana. Razu pewnego wziął mnie na ubocze i obiecał, że co miesiąc na pierwszego będzie mi wypłacał srebrne cztery pensy, jeżeli będę „czatował na żeglarza z jedną nogą” i natychmiast dam mu znać, skoro przybędzie. Dość często, gdy z nadejściem pierwszego dnia miesiąca dopominałem się o swą należność, fukał przez nos i przeszywał mnie pogardliwym wzrokiem, lecz nim upłynął tydzień, już jakby się rozmyślił, przynosił mi cztery pensy i powtarzał zlecenie, bym wypatrywał żeglarza o jednej nodze.

Nie potrzebuję chyba wam opowiadać, jak ta osobistość prześladowała mnie nieraz we śnie. W burzliwe noce, gdy wichura wstrząsała wszystkimi czterema węglami domu, a bałwany morskie z hukiem rozbijały się na skałach zatoki, widywałem tę zjawę w tysiącnych postaciach i z tysiącnymi diabelskimi grymasami. Raz ów żeglarz miał nogę obciętą w kolanie, to znów w biodrze; kiedy indziej był jakąś przerażającą poczwara, która miała od urodzenia tylko jedną nogę i w samym środku ciała. Patrząc, jak on skakał, biegał i gonił za mną przez płoty i rowy, było najgorszą zmart. Krótko mówiąc, wobec tych strasznych widziadeł ciężko przychodziło mi zarabiać moje cztery pensy miesięcznie.

Jednakże choć tak mnie trwożyła sama myśl o żeglarzu z jedną nogą, to osoby kapitana bałem się o wiele mniej niż ktokolwiek z tych, którzy go znali. Bywały takie wieczory, że uraczył się nadmierną ilością rumu z wodą, ponad wytrzymałość jego głowy; wtedy zazwyczaj siedział i śpiewał jakieś wariackie, stare i dzikie pieśni marynarskie, nie zważając na nikogo. Niekiedy jednak kazał wokoło zastawić szklanki i zmuszał całe zalekłe towarzystwo do słuchania swych gawęd lub wtórowania chórem jego pieśniom. Często słyszałem, jak dom trząsł się od przyśpiewki: „Jo-ho-ho! i butelka rumu!” Wszyscy stołownicy z obawy o swe cenne życie przyłączali się do tego chóru i w śmiertelnym strachu starali się zagłuszyć jeden drugiego, byle się nie wyróżniać. Podczas bowiem tych ataków kapitan był towarzyszem najniepoczytalniejszym w świecie. Tłukł ręką w stół, aby uciszyć zebranych, skakał unosząc się gniewem na niewczesne pytanie albo odwrotnie, gdy nie zadawano mu pytań – jedno i drugie uważał za dowód, że obecni nie dość uważnie słuchali jego opowieści. Nikomu nie pozwalał opuszczać gospody, póki sam, zmroczony trunkiem, nie potoczył się do łóżka.

Najwięcej z wszystkiego jednak przerażały nas jego opowiadania. Były to potworne bajania: o wisielcach, o strącaniu skazańców do morza, o burzach morskich, o skwarnych Wyspach Żółwich, o okropnych, dzikich czynach i zakamarkach w Zatoce Meksykańskiej. Widać z tego było, że musiał spędzać życie pośród najgorszych ludzi, jakim Bóg zezwolił pływać po morzu, język zaś, w którym opowiadał te wszystkie dzieje, przejmował prostaczków wiejskich nie mniejszym dreszczem niż zbrodnie, które opisywał. Ojciec mój wciąż mawiał, że gospoda nasza zejdzie na psy, bo ludzie

zaprzestaną do nas przychodzić po to, aby znosić tyranizowanie, pomiatanie i drżąc wracać na spoczynek. Mnie się jednak wydaje, że bytność kapitana wychodziła nam na korzyść. Ludzie zrazu się bali, lecz po pewnym czasie upodobali sobie nawet te osobliwości; stanowiły one doskonałą rozrywkę w jednostajnym życiu sielskim. Pomiędzy młodzieżą znalazło się nawet sporo takich, którzy udawali, że go podziwiają, nazywając go „prawdziwym wilkiem morskim”, „starym wygą” oraz podobnymi mianami i utrzymując, że to jeden z owych dzielnych wiarusów, którzy Anglię uczynili postrachem mórz.

Wszakże pod jednym względem naprawdę ów wilk morski nas rujnował; mieszkał u nas tydzień po tygodniu, miesiąc za miesiącem, aż w końcu pieniądze, które dał z góry za kwaterę i wikt, dawno się wyczerpały, a ojciec już nigdy nie mógł się odważyć zażądać więcej. Jeżeli kiedy bąknął o należności, kapitan parskął przez nos tak głośno, że to parskanie można było uważać za ryk, i przeszywającym spojrzeniem wyświecał go z pokoju. Widziałem, jak po każdej takiej odprawie ojczulek załamywał ręce, i jestem przekonany, że ta zgryzota oraz to życie w ciągłej grozie przyspieszyły w znacznej mierze jego śmierć przedwczesną i nieszczęśliwą.

Przez cały czas swego pobytu u nas kapitan nie zmienił żadnego szczegółu w swej odzieży; raz tylko nabył u przekupnia kilka par pończoch. Gdy jedna poła jego kapelusza oberwała się i opadła w dół, pozostawił ją w tym obwisłym stanie, choć dawała mu się we znaki na wietrze. Nigdy nie zapomnę widoku jego kubraka, który tak często łątał własnoręcznie w swym pokoju na piętrze, że w końcu łąta nakrywała łątę. Listów nigdy nie pisał ani nie otrzymywał, z nikim nie rozmawiał oprócz sąsiadów, i to przeważnie tylko wtedy, gdy wypił za wiele rumu. Nigdy nikt z nas nie widział, żeby wielka skrzynia podróżna była otwarta.

Raz tylko się rozgniewał, a było to już pod sam koniec, gdy ojciec mój biedny dogorywał na suchoty, które zabrały go nam ze świata. Pewnego popołudnia, o dość późnej godzinie przybył do nas doktor Livesey, aby obejrzeć chorego. Po oględzinach zjadł coś niecoś z obiadu podanego przez matkę i udał się do izby gościnnej, by wypalić fajkę czekając na swego konia, którego miano sprowadzić ze wsi, gdyż gospoda pod starym „Benbow” nie miała stajni. Wszedłem za nim i pamiętam wrażenie kontrastu, jaki tworzyła postać przystojnego, eleganckiego doktora, o włosach przysypanych śnieżnobiałym pudrem, o czarnych, błyszczących oczach i miłym sposobie bycia, na tle nieokrzęsanej karczemnej gawiedzi, a zwłaszcza w zestawieniu z brudnym, ocieężałym, kaprawym dziadym, naszym korsarzem, który wsparłszy się łokciem o stół, łykał rum nader obficie. Nagle ów – mówię oczywiście o kapitanie – zaczął pogwizdywać swą wieczną piosenkę:

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni —
Jo-ho-ho! i butelka rumu!
Diabli i trunek resztę bandy wzięli.
Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Pierwotnie przypuszczałem, że owa „Skrzynia Umrzyka” nie oznacza nic innego jak ową wielką skrzynię we frontowym pokoju, i myśl ta często kojarzyła mi się w snach z upiorem żeglarza o jednej nodze. Lecz w tym czasie już dawno przestali przywiązywać większą wagę do słów tej pieśni. Tego wieczoru nie była ona już nowością dla nikogo oprócz doktora Liveseya. Zauważyłem, że nie wywarła na nim miłego wrażenia; przez chwilę patrzył z gniewem na śpiewającego, po czym znów wdał się w rozmowę z ogrodnikiem, starym Taylorem, o nowym sposobie leczenia reumatyzmu. Tymczasem kapitan coraz bardziej zapalał się w śpiewie, wreszcie grzmotnął ręką w stół, co jak nam było wiadomo, stanowiło znak nakazujący milczenie. Natychmiast wszyscy umilkli, jedynie doktor Livesey głosem dźwięcznym i łagodnym prowadził w dalszym ciągu rozmowę poprzednio rozpoczętą, co parę słów pykając prędko fajeczkę. Kapitan wpił w niego źrenice, znów huknął pięścią w stół, spojrzał jeszcze groźniej, a na koniec bluznął prostackim, szorstkim przekleństwem:

– Stulić pysk – tam na międzypokładzie!

– Czy pan do mnie przemawia? – zapytał doktor.

Gdy ów gbur odpowiedział przytakująco i rzucił nowe przekleństwo, doktor mu na to:

– Powiem panu tylko jedno, że jeżeli będziesz pan nadal pił rumu tyle co teraz, to świat wkrótce pozbędzie się pewnego wstrętnego szubrawca!

Wściekłość starego marynarza nie miała granic. Skoczył na równe nogi, wydobył składany nóż marynarski i otworzywszy go począł kołysać na dłoni, grożąc przygwożdżeniem doktora do ściany.

Doktor bynajmniej się nie zmieszał, lecz począł mówić do niego przez ramię tym samym głosem co poprzednio – może nieco donośniej, by wszyscy w izbie mogli dosłyszeć, ale zawsze spokojnie i z powagą:

– Jeśli natychmiast pan nie schowa tego noża do kieszeni, ręczę słowem honoru, że znajdziesz się pan w najbliższym czasie przed sądem przysięgłych.

Czas jakiś krzyżowały się ich spojrzenia jak w pojedynku, lecz kapitan wkrótce spokorniał, złożył broń i usiadł wydając pomruk podobny do warczenia obitego psa.

– A teraz, mości panie – ciągnął doktor – skoro już wiem, że taki ptaszek znajduje się w moim okręgu, możesz pan być pewny, że z pana nie spuszczę oka ani w dzień, ani w nocy. Jestem nie tylko doktorem, ale i urzędnikiem, jeżeli więc usłyszę choć najmniejszą skargę na pana, gdyby chodziło nawet o takie grubiaństwo jak dzisiaj, poweźmę skuteczne środki, aby pana pojmać i wydalić na cztery wiatry. Na tym poprzestanę.

W chwilę potem przyprowadzono konia przed drzwi gospody i doktor odjechał. Owego wieczora i przez wiele następnych kapitan zachowywał się bardzo przykładnie.

II. Zjawia się „Czarny Pies” i – znika

Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaszedł pierwszy z tych tajemniczych wypadków, które nareszcie uwolniły nas od kapitana, choć jeszcze nie od spraw związanych z jego osobą – jak to zobaczycie.

Nastąpiła nieznośna, ostra zima przynosząc długotrwałe silne mrozy i szalone zawieje; od początku było do przewidzenia, że biedny mój ojciec prawdopodobnie nie dożyje wiosny. Z dnia na dzień opadał z sił, więc matka wraz ze mną wzięła zarząd gospody w swoje ręce; mając czas wciąż zajęty nie zwracaliśmy zbyt uwagi na niemiłego gościa.

Pewnego poranku styczniowego, o bardzo wczesnej porze – szczypiącego, mroźnego poranku – zatoka cała posiwała od szronu. Drobne zmarszczki wody lekko tylko muskały głązy nadbrzeżne. Słońce stało jeszcze nisko, ledwo dotykając wierzchołków wzgórz, i słało blask daleko na morze. Kapitan wstał wcześniej niż zwykle i usiadł na wybrzeżu; pod szeroką połą starego błękitnego kubraka chwiał się przywieszony kordelas⁴. Pod pachą widać było mosiężną lunetę, kapelusz zsunął się na tył głowy. Pamiętam, że gdy kapitan zeszedł ze swej czatowni, widniał jeszcze na tym miejscu jego oddech na kształt smugi dymu, a ostatnim dźwiękiem, jaki doszedł mnie z jego strony, gdy zwrócił się ku wielkiej skale, było głośne prychnięcie, świadczące o gniewnym usposobieniu; snadź nie otrząsnął się jeszcze z myśli o doktorze Liveseyu.

Matka bawiła właśnie na piętze u ojca, a ja zastawiałem stół do śniadania na przybycie kapitana, gdy wtem otworzyły się drzwi izby gościnnej i wszedł mężczyzna, którego dotychczas nigdy nie zdarzyło mi się widzieć. Miał cerę żółtą jak wosk i brakowało mu dwu palców u lewej ręki; choć miał przy boku kordelas, nie wyglądał jednak na wojownika. Dybałem na żeglarzy, czy to o dwóch nogach, czy o jednej, a więc człowiek nowo przybyły wprawił mnie w kłopot. Nie miał w sobie nic z żeglarza, a pomimo to załatywało od niego morzem.

Zapytałem, czym mogę służyć. Zażądał rumu, lecz gdy zabierałem się do wyjścia z pokoju, chcąc spełnić jego żądanie, rozsiadł się za stołem i skinął na mnie, bym podszedł bliżej. Przystanąłem trzymając pod pachą serwetę.

– Chodź no bliżej, synku – rzekł nieznajomy. – Chodź no bliżej!

Postąpiłem krok naprzód.

– Czy ten stół zastawiacie dla mego towarzysza Billa? – zapytał ów świdrując mnie zezem.

Odparłem, że nie znam jego towarzysza Billa, nakrywam zaś do stołu dla osoby mieszkającej w naszym domu i zwanej przez nas „kapitanem”.

– Niech mu będzie! – rzekł ów. – Wszystko mi jedno, czy mój towarzysz Bill nazywa się kapitanem, czy też nie. Ma bliźnę na policzku, a przy tym bardzo miłe obejście z ludźmi, zwłaszcza przy picu. Jako dowód weźmy więc, że wasz kapitan ma bliźnę na policzku – i jeśli wola, zaznaczę jeszcze, że jest to prawy policzek. Ach, tak! Już ci o tym mówiłem! Wobec tego, czy mój towarzysz Bill znajduje się w tym domu?

Wyjaśniłem, że wyszedł na przechadzkę.

– Dokąd, mój synku? Dokąd poszedł?

Wskazałem na skałę i udzieliłem wskazówek, kiedy i jaką drogą kapitan prawdopodobnie będzie wracał, oraz odpowiedziałem na kilka innych pytań. Wówczas przybysz odezwał się:

– No, to już na pewno sobie popiję serdecznie z mym towarzyszem Billem.

W czasie wymawiania tych słów miał minę bardzo nieprzyjemną, tak iż miałem podstawę przypuszczać, że jest w błędzie, nawet jeżeli przyjąć, iż ma na myśli to, co powiedział. Lecz pomyślałem sobie, że to nie moja sprawa, a zresztą sam nie wiedziałem, co wypada począć. Przybysz nadal stał w samych drzwiach gospody, wyzierając za róg domu jak kot czyhający na mysz. Raz już chciałem wyjść na ulicę, lecz natychmiast mnie odwołał; ponieważ zaś nie chciałem ulec jego

⁴ *kordelas* – długi nóż myśliwski służący do oprawiania upolowanej zwierzyny. [przypis edytorski]

zachciankom, zmienił się okropnie na trupiożółtej twarzy i zmusił mnie do posłuszeństwa takim przekleństwem, że aż się wzdrynąłem. Ledwom się cofnął, przybrał znów dawny wyraz i klepiąc mnie na wpół dobrotliwie, na wpół drwiąco po ramieniu, nazwał mnie „pocziwym chłopakiem” i twierdził, że żywi dla mnie szczerą sympatię.

– Mam syna rodzonego, podobnego do ciebie jak dwie krople wody, który jest moją chlubą. Lecz pierwsza rzecz u chłopca to karność, tak, mój synku, karność. Gdybyś pływał po morzach wraz z Billem, nie kazałbyś sobie niczego dwa razy powtarzać – nie! Nie było to nigdy w zwyczaju Billa ani tych, którzy z nim żeglowali. Ale otóż, ani chybi kroczy mój kamrat Bill z lunetą pod pachą! A niechże go! Tak, to on! Chodź no, synku, ze mną do izby i schowajmy się za drzwiami. Zrobimy małą niespodziankę Billowi. A niechże go, powiadam!...

Mówiąc to, nieznajomy wycofał się wraz ze mną do izby gościnnej i ustawił mnie poza sobą w kącie w ten sposób, że otwarte drzwi zasłaniały nas obu. Możecie sobie wyobrazić, jak byłem nieswój i przerażony, a strach mój jeszcze się zwiększał, gdy widziałem, że osobliwy gość też nie grzeszył odwagą. Wciąż tarł rękojeść kordelasa i próbował obluźnić brzeszczot w pochwie, a przez cały czas oczekiwania nieustannie coś przełykał, jakby się dławił jakąś ością w gardle.

W końcu kapitan wszedł gromkim krokiem do izby, trzasnął drzwiami za sobą i nie rozglądając się w prawo ani w lewo, zmierzał wprost do miejsca, gdzie oczekiwało nań zastawione śniadanie.

– Bill! – ozwał się nieznajomy głosem, któremu, jak mi się zdawało, usiłował nadać brzmienie śmiałe i silne.

Kapitan wykonał zwrot w tył na pięcie i stanął do nas frontem; twarz jego naraz straciła barwę brunatną i nawet nos mu posiniał. Miał wygląd człowieka, który zobaczył upiora lub diabła, albo, o ile to możliwe, jeszcze gorszą stworę. Słowo daję, że żal mi się go zrobiło przez chwilę, tak wydał się stary i złamany.

– Chodź, Billu! Wszak mnie poznajesz? Poznajesz na pewno starego druha okrętowego? – mówił tymczasem przybysz.

Kapitan jakby zaczerpnął powietrza.

– Czarny Pies! – powiedział.

– A któż by inny? – zachnął się tamten nabierając nieco rezonu. – Czarny Pies, ten sam co zawsze, przybywa, żeby zobaczyć się ze swym starym druhem Billem w gospodzie „Pod Admirałem Benbow”... Ach, Billu, Billu, przeżyliśmy obaj kopę lat od czasu, gdy postradałem te dwa knykcie – i wzniosł do góry okaleczoną rękę.

– Patrzcie no – mruknął kapitan. – Takżeś mnie podszedł! Tak, jestem tu we własnej osobie. No, mów, co się stało?

– To o ciebie idzie – odpowiedział Czarny Pies – musisz to usłyszeć, Billu. U tego miłego chłopaczka zamówiłem szklanę rumu, bo mi się bardzo pić chce; siądźmy przy sobie, jeżeli sobie tego życzysz, i pogwarzymy jak starzy kamraci.

Gdy wróciłem z rumem, obaj już siedzieli z obu stron stołu zastawionego dla kapitana. Czarny Pies siedział bliżej drzwi, bokiem, i zdawało mi się, że jednym okiem spozierał na swego kamrata, a drugim szukał odwrotu.

Poprosił mnie, żebym wyszedł i zostawił drzwi szeroko otwarte.

– A wara tam podglądać przez dziurkę od klucza, synku! – upominał mnie. Zostawiłem więc ich obu i odszedłem do szynkwasu⁵.

Przez długi czas, mimo wszelkich zabiegów zmierzających do podsłuchania ich rozmowy, nie zdołałem nic uchwycić prócz przytłumionego mamrotania, lecz w końcu głosy zaczęły się coraz więcej podnosić i mogłem odróżnić oderwane wyrazy, przeważnie przekleństwa kapitana.

– Nie, nie! Nie, nie! Z tym trzeba już raz skończyć – wrzeszczał zajadle, a w chwilę później znów dały się słyszeć słowa:

⁵ szynkwas – bufet, lada w szynku, w karczmie, przy których kupowało się trunki. [przypis edytorski]

– Jeżeli dojdzie do działania, działajmy wszyscy, powiadam.

Naraz, zgoła niespodzianie, nastąpił przerażający wybuch przekleństw i innych hałasów, stół i krzesło runęły, dał się słyszeć brzęk stali, a potem okrzyk bólu; w chwilę później zobaczyłem, że Czarny Pies uciekał co sił w nogach, a kapitan ścigał go zapalczywie – obaj mieli w rękę obnażone kordelasy, pierwszemu zaś szła ciurkiem krew z lewego ramienia. Tuż przy samych drzwiach kapitan wymierzył w uciekającego ostatni groźny cios, który strzaskałby mu kość pacierzową, gdyby ostrze nie zawadziło o sążnisty szyld naszego „Admirala Benbow”. Po dziś dzień można oglądać powstałą stąd szczerbę na dolnej krawędzi deski.

Było to ostatnie uderzenie w tej bójce. Czarny Pies znalazłszy się na ulicy okazał się, pomimo rany, przedziwnie rączy w nogach i w ciągu pół minuty zniknął za skrajem wzgórze. Natomiast kapitan stanął jak wryty, wlepiając oczy w deskę szyldu, następnie przetarł kilkakrotnie oczy ręką i wreszcie zawrócił do domu.

– Jim! daj mi rumu! – przemówił, a zauważyłem, że słał się nieco i jedną ręką próbował uchwycić się ściany.

– Czy pan raniony? – zawołałem.

– Rumu! – powtórzył. – Muszę stąd odejść. Rumu, rumu!

Wybiegłem, by mu go przynieść, lecz ponieważ byłem wytrącony z równowagi tym wszystkim, co zaszło, więc stłukłem szklankę i pobrudziłem kran. Gdy wybierałem się powtórnie po trunek, usłyszałem nagły łoskot w jadalni. Wbiegłszy ujrzałem kapitana leżącego jak długi na posadzce. W tejże chwili matka moja, zaniepokojona wrzawą i zgiełkiem bijatyki, zbiegła z piętra na pomoc. Wspólnymi siłami podnieśliśmy głowę omdlałego. Oddychał głośno, chrapliwie, lecz oczy miał zamknięte, a twarz zmieniła mu się okropnie.

– O, moiściewy⁶! olaboga! – labiedziła matka – jakie to nieszczęście spadło na nasz dom! A tatulo biedny chory!

Wśród tego nie mieliśmy pojęcia, jak przyjść z pomocą kapitanowi, i nie wąpiliśmy ani na chwilę, że otrzymał cios śmiertelny w bójce z nieznanym. Na wszelki wypadek przyniosłem rumu i usiłowałem wlać mu do gardła; lecz zęby miał szczelnie zaciśnięte, a szczęki twarde jak z żelaza. Uczuliśmy radość i ulgę, gdy niespodzianie otwarły się drzwi i wszedł doktor Livesey przybywający w odwiedziny do ojca.

– Ach, panie doktorze! – zawołaliśmy oboje. – Co tu począć? Gdzie on odniósł ranę?

– Ranę? Ech, głupstwo! – rzekł doktor. – Tak raniony jak wy lub ja. Ten drab miał atak apopleksji, wszak mu to przepowiadałem. A teraz, moja droga pani Hawkins, niech pani skoczy na górę do swego małżonka i o ile to możliwe, ani mru-mru o tym, co się stało! Ja ze swej strony uczynię co w mojej mocy, żeby uratować nikczemne życie tego draba; niech Jim przyniesie mi miednicę!

Gdy powróciłem z miednicą, już doktor rozerwał rękaw kapitańskiego kubraka i odsłonił potężne, żylaste ramię. Było tatuowane w kilku miejscach. Na przedramieniu znajdowały się ozdobne i wyraźnie wykonane napisy: „Na szczęście”, „Niech wiatr sprzyja” i „Billy Bones, dla fantazji”, powyżej zaś, bliżej łopatki, mieścił się rysunek przedstawiający szubienicę z dyndającym wisielcem – świadczący, jak mi się zdawało, o wielkich zdolnościach rysownika.

– Wieszczy znak! – zauważył doktor dotykając palcem rysunku. – A teraz, imć panie Billy Bones, jeżeli tak się nazywasz, zobaczymy, jaki kolor ma twoja juszka⁷. Jim, czy boisz się krwi?

– Nie, panie konsyliarzu⁸ – odparłem.

– No dobrze! więc potrzyj miednicę – i po tych słowach wziął lancet i otworzył żyłę.

Sporo krwi trzeba było upuścić, zanim kapitan otworzył oczy i rozejrzał się mgławo dokoła. Najpierw rozpoznał doktora i zmarszczył brwi z wyraźną niechęcią; następnie jego źrenice spoczęły

⁶ *moiściewy* – poufały okrzyk wyrażający zdziwienie, podziw. [przypis edytorski]

⁷ *juszka* – zdrobniale od słowa *jucha*. Krew zwierzęca. [przypis edytorski]

⁸ *konsyliarz* (daw.) – lekarz, doktor; ogólnie: radca, doradca. [przypis edytorski]

na mnie i wydawało się, jakby doznał ulgi. Naraz zmienił się na twarzy i spróbował się podnieść krzycząc:

– Gdzie Czarny Pies?

– Nie ma tu żadnego czarnego psa – odparł doktor – chyba tkwi w twojej chorobie. Za wiele rumu wypiełeś, więc też przyszedł atak, zupełnie jak przepowiedziałem, teraz zaś, prawie na przekór własnej woli, wyciągnąłem cię za czuprynę z grobu. No, ale panie Bones...

– To nie moje nazwisko – przerwał ów.

– Dużo mnie to obchodzi – odpowiedział doktor. – Jest to nazwisko pewnego znanego mi opryszka, ja zaś dla zwięzłości tak waszeć nazywam. Lecz chciałem aści powiedzieć, co następuje: jedna szklanka rumu jeszcze waszeci nie sprzątnie ze świata, lecz jeżeli pan wypijesz jedną, zachciewa ci się drugiej i trzeciej, a stawiam w zakład własną perukę, że jeżeli waszeć wkrótce nie zmienisz tego trybu życia, to umrzesz – rozumiesz? – umrzesz pan i pójdiesz na miejsce dlań przygotowane, jak ów człowiek, o którym mówi Pismo święte. A teraz postaraj się wasze pójść ze mną. Zaprowadzę pana do łóżka.

Wspólnymi siłami, acz z wielkim trudem, udało się wciągnąć go na piętro i położyć do łóżka; głowa opadła mu na poduszkę, jakby prawie omdlał.

– A teraz – rzekł doktor – proszę to sobie zapamiętać, mam czyste sumienie: ostrzegłem waćpana, że rum sprowadzi pańską śmierć.

To powiedziawszy wziął mnie pod ramię i wyszedł, aby zbadać stan zdrowia ojca. Ledwo zamknął drzwi za sobą, odezwał się:

– Drobnostka, nic mu nie będzie! Wypuściłem mu dość krwi, aby go uspokoić na jakiś czas. Z tydzień przeleży w łóżku – co i jemu, i wam wyjdzie na dobre. Ale powtórny atak przyprawi go o śmierć.

III. Czarna plama

Około południa udałem się do pokoju kapitana niosąc lekarstwa i chłodzące napoje. Kapitan leżał zupełnie tak samo, jakeśmy go pozostawili, jedynie głowę miał podniesioną nieco wyżej. Widać w nim było jednocześnie wycieńczenie i podniecenie.

– Jim! – odezwał się do mnie. – Jesteś tu jedynym człowiekiem, którego cenię, i wiesz, że zawsze byłem dobry dla ciebie. Nie było miesiąca, żebym ci nie dał srebrnych czterech pensów. Teraz widzisz, braciszku, że kiepsko ze mną i że wszyscy mnie opuścili... Jim, nie przyniósłbyś mi, brachu, kusztyczka⁹ rumu?

– Pan doktor... – zacząłem mówić, ale chory przerwał mi klnąc doktora głosem słabym, lecz stanowczym:

– Wszyscy doktorzy to partacze, a ten wasz doktor, skąd może się znać na chorobach marynarzy? he? Bywałem ci w krajach gorących jak smoła, gdzie wiara-kamraci zapadali na żółtą febrę, gdzie biesowska ziemia chybotwała się jak morze – cóż by o tych krajach umiał powiedzieć wasz doktorek? A przecież przeżyłem to wszystko dzięki picciu rumu, mówię szczerą prawdę! To było moje pożywienie, mój napój, mój mąż i żona; gdy nie dostanę rumu, jestem jak stare, skołatane pudło okrętu, co nie może odbić od brzegu z powodu przeciwnego wiatru. Krew moja spadnie na ciebie, Jim, a doktor partacz!... – tu posypał się stek przekleństw. Po chwili kapitan ciągnął błagalnym tonem:

– Patrz, Jim, jak mi się palce trzęsą, nie mogę ich utrzymać w spokoju. Nie miałem jeszcze ani kropli w ustach w przeklętym dniu dzisiejszym. Doktor jest głupi, powiadam ci. Jeżeli nie dostanę kapki rumu, Jim, zaraz te straszne widzenia znów mnie będą dręczyć; już widziałem kilku tych ludzi. Tam w kącie widziałem starego Flinta... widziałem go wyraźnie jak na dłoni. A jeżeli napadną mnie te widziadła, to staję się znów tym człowiekiem, co żył tak okropnie; wówczas budzi się we mnie Kain. Przecież sam wasz doktor powiedział, że jedna szklanka mi nie zaszkodzi. Dam ci, Jim, złotą gwineę za kusztyczek.

Jego podniecenie wzrastało z każdą chwilą i zacząłem się niepokoić o ojca, który tego dnia czuł się bardzo niedobrze i potrzebował ciszy; zresztą uspokajały mnie słowa lekarza, obecnie znów mi przytoczone, a nade wszystko czułem się dotknięty ofiarowaniem mi łąpówki.

– Nie chcę pańskich pieniędzy – zaznaczyłem – z wyjątkiem tego, co pan winien memu ojcu. Przyniosę panu jedną szklankę, ale ani kropli więcej.

Gdy przyniosłem, schwycił łąpczywie trunek i wychylił duszkiem.

– No, no! już mi nieco lepiej, ma się rozumieć! A powiedz mi jeszcze, brachu, czy ten lekarz powiedział, jak długo mam wylegiwać się w tych zapleśniałych betach?

– Co najmniej tydzień – wyjaśniłem.

– Do króćset piorunów! – wrzasnął. – Tydzień! To niemożliwe! Tymczasem przyślą mi czarną plamę! Łotry już krążą wokoło, żeby przewąchać o mnie w tej przeklętej chwili! Łotry! nie mogą poprzestać na tym, co mają, chcą pazurami wydrzeć cudzą własność! Doprawdy, niech mi kto powie, czy takie postępowanie można nazwać godnym marynarza! Ale ja jestem człowiekiem oszczędnym, nigdy nie roztrwoiłem ani nie zaprzepaściłem lubego grosza, więc i teraz wyprowadzę ich w pole. Nie boję się ich wcale. Skręcę żagle w inną stronę i wystrychnę ich wszystkich na dudków!

Mówiąc to powstał z łóżka z wielką trudnością, chwyciwszy mnie za ramię tak silnie, że o mało co nie krzyknąłem z bólu, i począł sztywnie stawiać kroki. Słowa jego, choć w treści znamionowały uniesienie, pozostawały w smutnej sprzeczności z bezdźwięcznym głosem, jakim je wypowiadał. Urwał, gdy znalazł się w pozycji siedzącej, wielce zakłopotany.

– Ten doktor coś mi zadał – mruzczał. – Dzwoni mi w uszach. Połóż mnie z powrotem do łóżka.

Zanim zdołałem mu pomóc, upadł znów na dawne miejsce i przez chwilę leżał spokojnie.

⁹ kusztyczek – mały kieliszek wódki. [przypis edytorski]

– Jim! – zagadnął nareszcie – widziałeś dziś tego żeglarza?

– Czarnego Psa? – zapytałem.

– Ee! Czarnego Psa! – zachnął się. – To wprawdzie zły człowiek, lecz są jeszcze gorsi, którzy nim się wyręczają. Ale jeżeli w żaden sposób nie będę mógł czmychnąć, a oni przyślą mi czarną plamę, pamiętaj, że idzie im o starą skrzynię marynarską; wtedy dosiędziesz konia – umiesz przecież? he? – A więc dosiędziesz konia i popędzisz do – dobrze! tak, niech tak będzie! – do tego wiecznego partacza, doktora, i powiesz mu, żeby zagwizdał na swoich piesków – urzędników, policjantów czy jak tam się zowią – niech wylądują w gospodzie „Pod Admiralem Benbow”, niech capną całą hałastę starego Flinta, młodych czy starych, wszystko, co jeszcze pozostało. Byłem pierwszym majtkiem w załodze, byłem bosmanem starego Flinta i jestem jedynym człowiekiem, który zna owo miejsce. On podał mi je w Savannah, gdy leżał w śmiertelnej chorobie, całkiem jak ja w tej chwili – widzisz? Lecz nie wypapłaj tego, aż oni przyślą mi czarną plamę albo aż zobaczysz powtórnie Czarnego Psa lub marynarza z jedną nogą – przede wszystkim jego, pamiętaj, Jim.

– Ale cóż to za „czarna plama”, kapitanie? – zapytałem.

– To ich pozew, kamracie. Powiem ci, gdy przyślą. Lecz proszę cię, Jimie, czuwaj pilnie, a podzielę się z tobą po połowie; słowo honoru ci daję.

Jeszcze przez chwilę bredził, a głos jego stawał się coraz słabszy. Po chwili podałem mu lekarstwo, które przyjął jak dziecko, zauważywszy przy tym:

– Jeżeli kiedy było potrzeba leków marynarzowi, to z pewnością mnie.

W końcu zmógł go ciężki, podobny do omdlenia sen, w którym go pozostawiłem. Nie wiadomo, jakbym się zachował, gdyby wszystko szło zwykłym trybem. Prawdopodobnie opowiedziałbym doktorowi całą historię, gdyż byłem w śmiertelnym strachu, że kapitan pożałuje swych zwierzeń i zabije mnie. Lecz gdy to wszystko się działo, nagle tego samego wieczoru mój biedny ojczulek rozstał się z tym światem, to zaś usunęło na bok wszystkie inne sprawy. Nasz naturalny ból i ciągłe odwiedziny sąsiadów, kłopoty związane z pogrzebem oraz równoczesna konieczność zajmowania się gospodą – wszystko to tak mnie pochłaniało, że nie miałem zgoła czasu, żeby myśleć o kapitanie, a tym mniej, by się go obawiać.

Jednakże nazajutrz rano, jak można się było spodziewać, zszedł on na dół i jak zwykle spożywał posiłki; jadł mało, za to – obawiam się – nad zwykłą miarę raczył się rumem, gdyż sam dobierał się do szynkwasu robiąc srogie miny i parszcząc przez nos, tak iż nikt nie miał odwagi wejść mu w drogę. Wieczorem w przeddzień pogrzebu upił się jak zwykle. W domu żałoby niezmiernie przykro brzmiała nuta jego ohydnej śpiewki marynarskiej, ale pomimo jego słabości czuliśmy wszyscy śmiertelną przed nim trwogę, doktor zaś właśnie podówczas wyjechał nagle do chorego o wiele mil od nas i po śmierci ojca nie zjawił się w pobliżu naszego domu. Powiedziałem, że kapitan był osłabiony; w istocie wydawało się, że zamiast odzyskać siły, coraz bardziej je tracił. Gramolił się po schodach to na dół, to do góry lub przechadzał się z jadalni do szynkwasu i znów z powrotem, niekiedy zaś wytykał nos za drzwi, by zaczerpnąć powietrza morskiego; wtedy trzymał się ściany, jak gdyby szukał oparcia, a oddychał ciężko i powoli jak człowiek stojący na stromym szczycie górskim. Nigdy nie zwracał się specjalnie do mnie i sądzę, że z pewnością zapomniał o wyznaniach poczynionych w przystępie szczerości; lecz w usposobieniu stał się bardziej dziwaczny i o ile mu słabość pozwalała, bardziej popędliwy niż dotąd. Gdy był pijany, napędzał nam obecnie strachu w ten sposób, że wyciągał kordelas z pochwy i kładł go przed sobą na stole. W gruncie rzeczy jednak mało zważał na ludzi i był jakby zamknięty w swych myślach, a raczej w swym obłąkaniu. Razu pewnego, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, zagwizdał niespodziewanie odmienną melodię jakby jakiejś sielskiej piosenki miłosnej, której pewno nauczył się w dzieciństwie, zanim zbratał się z morzem. Tak się rzeczy miały, aż nazajutrz po pogrzebie, w dzień posepny, mglisty i mroźny – była może godzina trzecia po południu – gdy wyszedłszy przed drzwi, pełen żalonych wspomnień o nieboszczyku ojcu, ujrzałem nieopodal jakiegoś człowieka wlokącego się drogą. Był niewątpliwie ślepy, gdyż obmacywał kijem drogę przed sobą, a ponad jego oczyma i nosem zwieszał się wielki zielony daszek; poza tym był zgarbiony,

jakby wiekiem czy niemocą, a odziany w przydługi i postrzępiony od starości płaszcz marynarski z kapturem, który nadawał mu wygląd wielce dziwaczny.

W życiu nigdy nie widziałem okropniejszej poczwary. Zatrzymał się na chwilę przed gospodą i podnosząc głos, tonem jakiejś dziwacznej kantyczki¹⁰, rzucił w przestrzeń te słowa:

– Może jakaś litościwa osoba powie biednemu ciemnemu człowiekowi, który postradał drogocenny dar wzroku w szaczonej obronie swej ojczyzny Anglii i miłościwie nam panującego króla Jerzego, gdzie i w jakiej okolicy tego kraju znajduję się w tej chwili?

– Jesteś, dobry człowieku, koło gospody „Pod Admiralem Benbow”, nad zatoką Black Hill – przemówiłem.

– Słyszę głos – rzekł ów – głos młodzieńczy, ale człowieka nie widzę. Mój miły, młody przyjacielu, czy nie podasz mi ręki i nie wprowadzisz mnie do wnętrza gospody?

Ledwie wyciągnąłem dłoń, a ta straszna, słodko mówiąca i oczu pozbawiona stwora ścisnęła mi ją nagle jak w kleszczach. Byłem tak przejęty trwogą, iż usiłowałem się wyrwać, lecz ślepiec jednym ruchem ręki przyciągnął mnie do siebie, mówiąc:

– A teraz, mój chłopcze, zaprowadź mnie do kapitana.

– Łaskawy panie – odrzekłem – słowo daję, że nie mogę się odważyć na to.

– O, cóż znowu?! – zaszydził. – Prowadź mnie natychmiast albo ci pogruchocę ramię.

To mówiąc tak mi wykręcił ramię, że aż zawrzałem z bólu.

– Łaskawy panie – wyjąkałem – mam tu na względzie jedynie pańskie dobro. Kapitan nie jest już tym, czym był niegdyś. Siedzi tam z dobytym kordelasem. Inny człowiek...

– Dalej, jazda, ruszaj! – przerwał mi ów; nie słyszałem nigdy głosu tak okrutnego, zimnego i obrzydliwego jak głos tego ociemniałego człowieka. Odczuwałem większy strach niż ból; stałem się uległy woli żebraka, wszedłem prosto przez drzwi do jadalni, gdzie siedział nasz schorzały stary korsarz, pijany jak bela. Ślepiec postępował tuż za mną, trzymając ramię moje w swej żelaznej pięści i przytłaczając mnie ciężarem, który zaledwie mogłem wytrzymać.

– Prowadź mnie wprost do niego, a gdy mnie spostrzeże, zawołaj: „Oto twój przyjaciel, Billu!” Jeżeli tego nie uczynisz, zrobię ci tak – i ścisnął mnie tak mocno, iż myślałem, że omdleję. Wśród tego takim lękiem przejmował mnie ów ślepy żebrak, iż zapomniałem o strachu przed kapitanem; otworzywszy więc drzwi do jadalni, bez wahania, choć drżącym głosem, wykrzyknąłem poleczone mi słowa.

Biedny kapitan podniósł oczy; w jednej chwili rum wyszumiał mu z głowy, a wzrok stał się trzeźwy i przytomny. Na twarzy jego uwydatniała się nie tyle trwoga, ile jakaś śmiertelna niemoc. Poruszał się chcąc powstać, lecz zdaje się, że zabrakło mu sił.

– No, Billu, siedź, nie ruszaj się z miejsca! – mówił żebrak. – Wprawdzie jestem pozbawiony wzroku, lecz słyszę nawet skinienie palca. Interes jest interesem. Wyciągnij lewą rękę, a ty, chłopcze, uchwycić jego lewą rękę w przegubie i przybliż do mojej prawicy.

Obaj spełniliśmy jego rozkaz co do joty i zobaczyłem, że ów straszny dziadyga przesunął coś ze swej ręki, która dotąd trzymała kostur¹¹, na dłoń kapitana, kapitan zaś silnie zacisnął w garści ów trzymany przedmiot.

– A więc już wykonane – powiedział ślepiec, po czym natychmiast uwolnił mnie ze swego uścisku i z niewiarygodną pewnością siebie i zręcznością wyskoczył z jadalni, a następnie na ulicę. Stojąc jeszcze nieruchomo w miejscu, słyszałem przez pewien czas w oddali miarowe stukanie jego kija.

Wszystko to stało się, zanim my obaj zdołaliśmy zebrać zmysły; w końcu jednak, i to prawie jednocześnie, ja wypuściłem przegub ręki kapitana, który dotychczas jeszcze trzymałem, a kapitan rozwarł dłoń i bystro spojrzął na przedmiot w niej zawarty.

¹⁰ *kantyczka* – książka zawierająca zbiór pieśni religijnych, głównie kolędy i pastorałki; tu: pieśń tego rodzaju. [przypis edytorski]

¹¹ *kostur* – tu: kij służący do podpierania się. [przypis edytorski]

– O dziesiątej! – zawołał. – Sześć godzin! Jeszcze im pokażemy! – i skoczył na równe nogi.

W tej chwili, gdy to uczynił, chwycił się ręką za gardło, zachwiał się na nogach i wydawszy dziwne rżenie runął całym ciężarem na podłogę twarzą naprzód.

Natychmiast przypadłem do niego, krzykiem wzywając matkę. Lecz na nic nie zdał się pośpiech. Kapitan zmarł, rażony apopleksją. Jednej rzeczy zrozumieć nie mogę: bez wątpienia nigdy nie byłem przywiązany do tego człowieka, choć ostatnio obudziła się we mnie litość nad nim; gdy jednak zobaczyłem, że nie żyje, wybuchnąłem rzewnym płaczem.

Była to druga śmierć, którą oglądałem własnymi oczyma, a po pierwszej odczuwałem jeszcze w sercu niezagojoną boleść.

IV. Skrzynia marynarska

Nie tracąc czasu opowiedziałem oczywiście matce wszystko, co mi było wiadomo i co może dawno powinienem był jej wyjawić; zrozumieliśmy od razu, że położenie nasze jest trudne i niebezpieczne. Pewna część pieniędzy kapitana – o ile je posiadał – należała się z pewnością nam jako wierzycielom; było jednak rzeczą wielce wątpliwą, czy towarzysze, a zwłaszcza oba indywidua widziane przez mnie, Czarny Pies i niewidomy żebrak zgodziliby się ustąpić część zdobyczy na rachunek długów nieboszczyka. Polecenie kapitana, by natychmiast dosiadać konia i jechać do doktora Liveseya, było nie do pomyślenia, gdyż matka zostałaby sama, bez opieki. Obojgu nam wydawało się niepodobieństwem dłuższe przebywanie w domu: przesypywanie się węgla na ruszcie kuchennym, ciche tykanie zegara napełniało nas przerażeniem. Słuch nasz miewał złudzenie, że dokoła domu rozlega się odgłos coraz to bliższych kroków, podobnych do stąpania upiórów. Wobec zwłok kapitana na podłodze w jadalni, wobec uporczywej myśli o wstrętnym ślepym żebraku, czyhającym gdzieś niedaleko i mogącym powrócić lada chwila, przejęty byłem taką zgrozą, że niekiedy miałem chęć, jak to mówią, wyskoczyć ze skóry. Należało czym prędzej coś przedsięwziąć; wnet przyszło nam do głowy, by wyjść razem z domu i szukać pomocy w sąsiedniej osadzie; myśl tę od razu wprowadziliśmy w czyn. Jak byliśmy, z gołą głową, tak pognaliśmy natychmiast wśród gęstniejącego mroku i przenikliwej mgły.

Osada była od nas oddalona o kilkaset jardów¹², lecz leżała na uboczu, po drugiej stronie sąsiedniej zatoki. Wielkiej otuchy dodawało mi to, że znajdowała się w kierunku przeciwnym temu, skąd pojawił się ślepiec i dokąd przypuszczalnie podążył z powrotem. Byliśmy w drodze ledwo kilka minut, lecz po kilkakroć zatrzymywaliśmy się, aby zrównać się ze sobą lub nasłuchiwać. Jednakże nie doszedł do nas żaden odgłos osobliwy – słychać tylko było cichy szmer fal i krakanie wron na drzewach.

Gdy dotarliśmy do osady, już pozapalano świece – nigdy w życiu nie zapomnę tej błogości, jakiej doznałem na widok złotawego blasku w drzwiach i oknach; lecz jak się przekonałem, była to jedyna pociecha, jakiej zaznać mogliśmy w tej dziurze. Myślicie może, że ludzie mieli choć trochę wstydu? Nie można było znaleźć duszy, która by się zgodziła wracać z nami „Pod Admirala Benbow”. Im więcej opowiadaliśmy o swych kłopotach, tym skwapliwiej każdy, zarówno mężczyzna, jak kobieta czy dziecko, zatrząskiwał nam drzwi przed nosem. Nazwisko kapitana Flinta, dla mnie obce, było niektórym aż nazbyt dobrze znane i wywoływało nieopisany przestach. Paru ludzi, którzy pracowali w polu opodal „Admirala Benbow”, wspominało ponadto, że na gościńcu widzieli kilku nieznanomych drabów, a biorąc ich za przemytników zaryglowali dobrze drzwi; ktoś tam nawet widział mały lugier¹³ w tak zwanej przez nas „Pieczarze Kitta”. Z tego powodu każdy, kto był towarzyszem kapitana, pobudzał ich do śmiertelnej trwogi. Krótko mówiąc, rezultat był taki, że choć znalazło się kilku chętnych, którzy podjęli się jechać po doktora Liveseya mieszkającego w innej stronie, to jednak nikt nie podjął się wspólnie z nami bronić gospody.

Mówią, że tchórzostwo jest zaraźliwe: w każdym razie człowiek czuje się lepiej na duchu, gdy komuś bez ogródek wytnie prawdę w oczy. Toteż gdy każdy sianem się wykręcał, matka sypnęła ludziom kazanie oświadczając, że nie może na pastwę oddać grosza należącego do jej syna-sieroty.

– Jeżeli wam wszystkim dusza uciekła w pięty, to ja z Jimem okażemy więcej odwagi! Wracamy do domu tą samą drogą, którąśmy tu przyszli – obejdziemy się bez waszej łaski! Takie dryblasy, chłopcy jak dęby, a serce mają jak zające! Otworzymy skrzynię, choćbyśmy mieli za to kipnąć! Pani Crossley, a do paniusi to się umizgnę o tę sakiewkę, żebym miała gdzie wrazić te pieniądze, co się nam z prawa przynależą.

¹² *jard* – anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

¹³ *lugier* – szybki statek przybrzeżny o skośnych żaglach. [przypis redakcyjny]

Ma się rozumieć, że powiedziałem, iż chcę iść z matką, a po prawdzie wszyscy nam wymyślali od kiepskich wariatów: niemniej jednak nikt nie zechciał nam towarzyszyć. Poprzestano na wręczeniu mi nabitego pistoletu, na wypadek gdyby nas napadnięto; obiecano również mieć w pogotowiu osiodłane konie, na wypadek, gdyby nas ścigano, tymczasem jeden z parobków zabierał się do odjazdu w stronę domu doktora, celem sprowadzenia zbrojnej pomocy.

Mogłem dokładnie rozeznąć bicie własnego serca, gdy znaleźliśmy się znów w objęciach zimnej nocy w obliczu groźnego niebezpieczeństwa. Zaczął właśnie wschodzić księżyc w pełni, przezierając czerwonawą poświatą przez górny rąbek mgły; wzmogło to nasz pośpiech, gdyż nie ulegało wątpliwości, że zanim dojdziemy do celu, zrobi się jasno jak w dzień, a nasza wyprawa wpadnie w oko jakiemuś czatownikowi. Bez szelestu, błyskawicznie prześliznęliśmy się koło opłotków, nie słysząc ani nie widząc nic takiego, co mogłoby zwiększyć naszą trwogę. Doznaliśmy ogromnej ulgi, gdy drzwi gospody „Pod Admiralem Benbow” zamknęły się za nami.

Nie tracąc czasu zasunąłem zawory; przez chwilę staliśmy i dyszeliliśmy w ciemności, sam na sam ze zwłokami kapitana. Niebawem jednak matka wydostała świeczkę z kredensu i wkroczyliśmy do jadalni trzymając się za ręce. Kapitan leżał tak, jakeśmy go porzucili: na wznak, z otwartymi oczyma, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie.

– Spuść zasłony w oknach, Jimie! – wyszeptła matka. – Oni tu mogą podejść i szpiegować nas od dworu!

Gdy uczyliem to, odezwała się znowu, wskazując na skrzynię:

– A teraz musimy skądś wytrzasnąć klucz od... tego... Chciałabym wiedzieć, kto ma go dotknąć!

Gdy wymawiała te słowa w jej głosie brzmiało jakby szlochanie.

Ukląłem natychmiast przy zmarłym. Na podłodze tuż przy jego dłoni spoczywał mały zwitek papieru pomazany na czarno z jednej strony. Nie miałem wątpliwości, że to jest właśnie owa „czarna plama”. Podniósłszy ten świstek znalazłem na jego odwrotnej stronie wypisane pięknym, czytelnym charakterem następujące zwięzłe zdanie: *Masz czas dzisiaj do dziesiątej wieczorem.*

– Mamo, jemu dali czas do dziesiątej! – powiedziałem, a właśnie w tej samej chwili stary nasz zegar począł wybijać godzinę. Ten nieoczekiwany dźwięk przejął nas dreszczem; jednak uspokoiliśmy się niebawem, gdyż przekonaliśmy się, że jest dopiero szósta.

– Jim! a ten klucz? – nagabywała matka.

Przetrząsałem wszystkie kieszenie nieboszczyka jedną po drugiej. Kilka drobnych monet, napałek, kłębek nici i parę wielkich igieł, laseczka prasowanego tytoniu, nadgryziona z jednego końca, scyzoryk z zakrzywioną rączką, kompas i pudełko z hubką i krzesiwem – oto wszystko, co się tam kryło. Zacząłem rozpaczać.

– Może znajduje się na szyi – domyślała się matka.

Przemógłszy wielką odrazę rozchełstałem mu koszulę koło szyi, tam zaś, zgodnie z domysłem, znaleźliśmy klucz wiszący na brudnej tasiemce, którą przeciąłem własnym kozikiem kapitana. Nabrawszy wielkiej nadziei po tym odkryciu, popędziliśmy cwałem na górę do pokoiku, gdzie kapitan nocował od tak dawna i gdzie jeszcze od dnia jego przybycia stała skrzynia.

Jej wygląd zewnętrzny niczym się nie różnił od wyglądu innych kufrów marynarskich. Na wieku widniał monogram „B” wypalony żelazem; rogi były poobijane nieco i starte przez długie używanie oraz niedelikatne obchodzenie się z nim.

– Podaj mi klucz! – rzekła matka. Wprawdzie zamek się zacinał, lecz zdołała go przekręcić i odrzuciła w mgnieniu oka wieko.

Silna woń tytoniu i dziegiu wionęła ze środka, lecz na wierzchu było widać jedynie zupełnie przyzwoity garnitur, bardzo starannie oczyszczony i poskładany. Matka wyraziła przypuszczenie, że kapitan nie miał go jeszcze nigdy na sobie. Pod spodem był istny groch z kapustą: kwadrant

¹⁴, blaszany kubek, kilka laseczek tytoniu, dwie pary nader pięknych pistoletów, sztaba lanego srebra, stary zegarek hiszpański i wiele innych świecidełek niezbyt wielkiej wartości i przeważnie wyrobu zagranicznego, para mosiężnych kompasów oraz pięć czy sześć osobliwych muszli z Indii Zachodnich. Często później zastanawiałem się nad tym, po co on te wszystkie rupiecie woził z sobą wszędzie w ciągu swego włóczęgowskiego, występnego i pełnego niebezpieczeństw życia.

Dotychczas oprócz srebra i drobiazgów nie znaleźliśmy niczego, co by mogło przedstawiać jakąś wartość, a żaden z tych przedmiotów nie stanowił dla nas upragnionej zdobyczy. Pod spodem znajdował się stary płaszcz żeglarski, wyblakły od soli morskiej w wielu podróżach. Matka odrzuciła go niecierpliwie i ujrzelśmy ostatnie przedmioty znajdujące się na dnie skrzyni: paczkę owiniętą w ceratę i wyglądającą na plik papierów oraz worek z płótna żaglowego, który przy poruszeniu odezwał się brzękiem złota.

– Pokażę tym łajdakom, że jestem uczciwą kobietą – oświadczyła matka. – Odbiorę swój dług i ani grosza więcej. Trzymaj sakiewkę pani Crossleyowej! – I zabrała się do obliczania z worka kapitańskiej sumy, którą był nam winien; przeliczone pieniądze przesypywała do sakiewki trzymanej przez mnie.

Było to zajęcie żmudne i uciążliwe, gdyż pieniądze pochodziły z różnych krajów i były rozmaitej wielkości: były tam i dublony, i luidory, gwinee, talary i nie wiem już jakie inne monety, wszystko zmieszane pospołu. Na domiar złego gwinee, na których jedynie znała się moja matka, spotykało się prawie że najrzadziej.

Gdyśmy już doszli niemal do połowy, nagle położyłem rękę na ramieniu matki, gdyż w cichym, mroźnym powietrzu posłyszałem dźwięk, który mi ściał krew w żyłach – było to miarowe stukanie laski ślepego żebraka na zamarzniętym gościńcu. Odzywało się raz po raz, coraz bliżej, podczas gdyśmy siedzieli z zapartym tchem. Ktoś począł się dobijać do drzwi gospody, później słychać było, jak przekręcano klamkę i coś chrobotało koło zamku, jakby napastnik próbował się włamać; potem nastąpiła chwila dłuższej ciszy zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. W końcu rozpoczęło się na nowo kusztowanie laski żebraka i ku niewysłowionej radości naszej i zadowoleniu znów cichło z wolna w miarę oddalania się, aż ucichło zupełnie.

– Mamo! – odezwałem się – weź wszystko i uciekajmy stąd!

Byłem pewny, że zaryglowane drzwi musiały wzniecić podejrzenie, więc ów zbój sprowadzi nam na głowę cały rój szerszeni; w każdym razie, jak dziękowałem sobie sam za zaryglowanie drzwi, tego nie potrafi wysłowić nikt, kto nie spotkał się w swym życiu z tym przerażającym ślepcem.

Lecz matka, choć miała tęgiego pietra, nie chciała przystać na to, by wziąć o grosz złamany więcej, niż się jej należało, a również stanowczo sprzeciwiała się poprzestaniu na mniejszej sumie. Powtarzała, że daleko jeszcze do dziesiątej, że zna swoje prawa i chce je wykorzystać. Jeszcze spierała się ze mną, gdy wtem rozległo się ciche, krótkie gwizdnięcie opodal na wzgórzu. To wystarczyło aż nadto nam obojgu.

– Wezmę to, co mam – powiedziała zrywając się na równe nogi.

– Ale ja wezmę tę drobnostkę dla zaokrąglenia rachunku! – dodałem chwytając ceratową paczuszkę.

W jednej chwili zbiegliśmy po omacku na dół zostawiając świecę przy wypróżnionej skrzyni, otworzyliśmy drzwi i poczęliśmy umykać co sił w nogach. Nie wybraliśmy się ani o minutę za wcześnie. Mgła szybko się rozwiewała, a księżyc z wysoka świecił już bardzo jasno na wszystkie strony, jedynie na samym dnie wąwozu i koło drzwi karczmy leżała wąska smuga ciemności, osłaniająca nasze pierwsze kroki. Ale niespełna w połowie drogi do wioski, prawie u stóp pagórka, musieliśmy wyjść na przestrzeń oświetloną księżycem. Nie dość tego: do naszych uszu doszło tupanie kilku pędzących ludzi. Gdy spojrzeliśmy w ich stronę, ujrzelśmy światło chyboczące się tam i z powrotem i zbliżające się coraz bardziej, co świadczyło, że jeden z przybywających miał latarnię.

¹⁴ kwadrant – dawny przyrząd astronomiczny. [przypis redakcyjny]

– Mój kochany – rzekła nagle matka – weź pieniądze i uciekaj. Ja słabnę.

Myślałem, że już niechybnie nadszedł kres nas obojga. O, jakże przeklinałem tchórzostwo sąsiadów! Jak wymyślałem w duchu na biedną mateńkę, za jej uczciwość i chciwość, za jej dawną niewczesną śmiałość i obecną słabość! Na szczęście znajdowaliśmy się koło mostku, więc słaniającą się i wyczerpaną doprowadziłem na skraj brzegu, gdzie, jak przewidywałem, wydała jęk i upadła bez przytomności w moje ramiona. Nie wiem, skąd mi się wzięło tyle siły, aby to wykonać, i pewno zrobiłem to dość niezdarnie, bądź co bądź jednak udało mi się zaciągnąć ją pod mostek, a nawet częściowo ukryć pod sklepieniem. Dalej już nie mogłem jej posunąć, gdyż mostek był niewysoki, tak iż zaledwie sam zdołałem wczołgać się pod niego. Tak musieliśmy czekać zmiłowania bożego, oddaleni od karczmy zaledwie na odległość głosu. Matka leżała bez ducha.

V. Dokończenie opowieści o ślepym żebraku

Jednakże ciekawość przemogła trwogę; nie mogłem wytrzymać na jednym miejscu, lecz wgramoliłem się z powrotem na brzeg, gdzie chowając się za krzakiem janowca, mogłem przyglądać się drodze wiodącej do naszej gospody. Ledwo stanąłem na czatach, już zaczęli się schodzić nasi wrogowie; biegło ich siedmiu czy ośmiu całym pędem, aż tętent ich stóp rozlegał się nierytmicznie wzdłuż drogi; człowiek z latarnią wyprzedzał ich o kilka kroków. Trzech biegło razem, trzymając się za ręce; pomimo mgły wyobrażałem sobie, że środkowy mężczyzna w tej trójce był to ślepy żebrak. W chwilę później jego głos potwierdził moje domysły.

– Rozwalić drzwi! – zawołał.

– Według rozkazu! – odpowiedziało kilka głosów. Do „Admirała Benbow” przypuszczono szturm, latarnia posunęła się naprzód; zaraz zauważyłem, że się zatrzymali, a rozmowa przeszła w przytłumiony pomruk, jak gdyby napastnicy się zdumieli widząc drzwi otwarte. Lecz przerwa trwała krótko, ponieważ ślepiec znów powtórzył rozkaz. Głos jego brzmiał donośniej i przeraźliwiej, jakby był roznamietniony zniecierpliwieniem i wściekłością.

– Naprzód, do środka, do środka! – darł się i obrzucał ich przekleństwami za opieszałość.

Czterech czy pięciu z nich posłuchało od razu, dwóch pozostało na gościńcu wraz ze strasznym dziadygą. Przez chwilę było cicho, potem dał się słyszeć okrzyk zdziwienia, a wreszcie głos jakiś wrzasnął:

– Bill nie żyje!

Ślepiec znów ich złażał za ociąganie się.

– A, wy wykrętne łotry! Niech go który zrewiduje, a reszta wio! na górę i znieść tę skrzynię.

Słyszałem łoskot ich obcasów na naszych starych schodach; pewno cały dom aż dygotał od tych uderzeń. Za chwilę doleciały do mnie nowe krzyki zdumienia: ktoś w pokoju kapitana otworzył na oścież okno z trzaskiem i brzękiem tłuczonego szkła. W blasku księżyca widać było, jak wysunął stamtąd głowę i barki jakiś mężczyzna, który zwrócił się do ślepca stojącego poniżej na ulicy:

– Słuchaj, Pew! tu już był ktoś przed nami! Ktoś przetrząsnął cały kufer i przewrócił w nim wszystko do góry nogami.

– A czy t o się tam znajduje? – ryknął Pew.

– Pieniądze są.

Ślepiec zaklął odsyłając pieniądze do wszystkich diabłów.

– Mówię o piśmie Flinta! – krzyknął.

– W żaden sposób nie możemy go odszukać – odpowiedział tamten.

– Hej, wy na dole! czy nie znaleźliście tego przy Billu? – wołał znów ślepiec.

Na to przybiegł inny drab, widocznie jeden z tych, którzy zostali na dole, żeby obszukać zwłoki kapitana, i stanął w drzwiach mówiąc:

– Billa już ktoś obmacał! Nic nie zostało!

– W tym musieli palce maczać ludzie z tej karczmy! To sprawka tego chłopca! Och! żebym mógł mu oczy wyłupić! – krzyczał ślepy żebrak Pew. – Oni tu byli niedawno... zaryglowali drzwi, kiedy próbowałem się do nich dostać. Dalej, chłopcy! Biegnijcie na wszystkie strony i przyłapcie ich!

– Z pewnością tu się gdzieś ukryli i siedzą po kątach – bąknął zbójca stojący w oknie.

– Rozsypcie się na wszystkie strony i szukajcie ich! Przetrząsniście cały dom! – powtarzał Pew waląc kosturem o ziemię.

Hałas ogromny zapanował w całej naszej starej gospodzie; to tu, to tam rozbrzmiewały ciężkie stąpania, przewracano sprzęty, otwierano kopnięciami drzwi, aż skały odpowiadały głośnym echem. Na koniec zbójcy poczęli wychodzić jeden za drugim na ulicę oznajmiając, że niepodobna nas odnaleźć. Równocześnie ten sam gwizd, który poprzednio spłoszył matkę i mnie w czasie liczenia pieniędzy kapitana, dał się ponownie słyszeć wyraziście w ciszy nocnej, lecz tym razem dwukrotnie.

Mniemałem wprzód, iż jest to surma bojowa niewidomego dziada wzywającego całą szajkę do ataku. Teraz jednakże przekonałem się, że świstanie pochodziło ze zbocza pagórka zwróconego w stronę wioski, sądząc zaś z wrażenia, jakie wywarło na rozbójnikach, było znakiem, który ostrzegał ich przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

– To znowu Dirk¹⁵! – rzekł jeden z nich. – Dwa razy! Trzeba zawracać, koledzy!

– Dam ja ci zawracać, baranie! – zlił się Pew. – Dirk był głupcem i tchórzem od urodzenia; nie zważać na niego! Oni tu muszą być niedaleko; nie mogą być daleko! Są gdzieś pod ręką! Rozsypać się i szukać, psy jedne! Och, na mą duszę – krzyczał – gdybym miał oczy!

Rozkaz ten sprawił niejakię wrażenie. Dwaj opryszkowie wzięli się do poszukiwań tam i sam pośród gratów, lecz jak mi się zdawało, bez entuzjazmu i przez cały czas mając na uwadze własne niebezpieczeństwo, reszta stała niezdecydowanie na gościńcu.

– Macie już krocie pieniędzy prawie w garści, wy głupcy, a nie chce się wam powłóczyć nogami! Jeżeli uda się wam to znaleźć, będziecie bogaci jak królowie; wiecie, że to jest tutaj, a stoicie i udajecie zmęczonych! Nie było między wami takiego, który by się odważył stanąć wobec Billa... i ja to uczyniłem, ja, człowiek niewidomy! I ja też przez was tracę swe szczęście! Zostanę ubogim włóczęgą-żebrakiem, niemającym nawet za co napić się rumu, chociaż mógłbym jeździć karetą! Gdybyście mieli choć tyle serca co najmniejszy robaczek, już byście ich złapali.

– Daj spokój, Pew, zdobyliśmy talary! – zrzędził jeden ze zbójców.

– Oni mogli ukryć tę przeklętą rzecz – rzekł inny. – Chodź, Pew, weź z sobą Jerzego i nie drzyj gęby!

„Darcie gęby” było tu trafnym wyrażeniem, gdyż wściekłość Pew wzrosła niebywale w miarę sprzeciwu; wreszcie, gdy rozjuszenie przeszło wszelkie granice, zaczął ich okładać na oślep w prawo i w lewo, a kij jego zadudnił głucho na plecach niejednego z nich.

Ci ze swej strony przekleństwami i obelgami odwzajemniali się ślepemu hultajowi, odgrażając mu się w strasznych słowach, a zarazem nadaremnie usiłowali pochwycić kostur i wyrzucić go z jego rąk.

Ta sprzeczka była dla nas wybawieniem. Gdy oni jeszcze się spierali ze sobą, od wierzchołka wzgórza w stronę wioski doszedł inny odgłos, a mianowicie tętent galopujących koni. Prawie równocześnie błysnęło coś koło żywoplotu i rozległ się trzask wystrzału pistoletowego. Było to niewątpliwie ostatnim hasłem niebezpieczeństwa, gdyż piraci natychmiast zwrócili się do ucieczki rozpraszając się we wszystkich kierunkach, jedni ku zatoce, drudzy na przełaj przez wzgórze, słowem, gdzie kto mógł. W ciągu pół minuty nie było ani śladu po nich – pozostał tylko Pew. Opuścili go współnicy, nie wiadomo, czy jedynie z winy popłochu, czy też z zemsty za obelgi i razy, dość że pozostał w tyle, grzmocąc zaciekle laską w ziemię, szukając po omacku i nawołując swych kamratów. Wreszcie przybrał mylny kierunek i począł biec ku wsi, mijając mnie o kilka kroków i wrzeszcząc:

– John!... Czarny Psie!... Dirk!... – tu następowały jeszcze inne imiona i przezwiska. – Chyba nie chcecie porzucić starego Pew, druhowie, nie opuszczajcie starego Pew!

Właśnie wtedy na szczycie pagórka zabębniły kopyta końskie, w blasku miesiąca wyłoniło się czterech czy pięciu jeźdźców, którzy w pełnym galopie poczęli zjeżdżać po pochyłości.

Pew zmiarkował swą omyłkę, więc z krzykiem zawrócił, popędził wprost do rowu i stoczył się do niego. W sekundzie jednak był znów na nogach, lecz teraz całkowicie oszołomiony, rzucił się wprost pod pierwszego z nadjeżdżających koni.

Jeździec chciał go ocalić, ale na próżno. Pew powalił się wydając krzyk, który przenikliwie zabrzmiał wśród nocy; cztery kopyta stratowały i zmiażdżyły nieszczęśnika i przeszły dalej. Upadł na bok, następnie osunął się z wolna twarzą ku ziemi i odtąd już się nie poruszył.

¹⁵ *dirk* – sztylet, puginał. Wszyscy prawie korsarze, o których mowa w tej powieści, mają dziwne nazwiska: Flint to krzesiwo, Pew: kłęcznik, Silver: srebro itp. (przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

Zerwałem się na równe nogi i powitałem jadących. Osadzili konie w miejscu, mimo wszystko przerażeni wypadkiem, więc ich od razu poznałem. Jeden, człapiący na ostatku, był to ów parobek, który wyprawił się z wioski do doktora Liveseya; resztę stanowili strażnicy celni, których spotkał on po drodze i z którymi przezornie natychmiast wrócił.

Pewne pogłoski o statku w grocie Kitta dotarły do nadkomisarza Dance'a, co skłoniło go owej nocy do wyprawy w naszą stronę; tej to okoliczności matka i ja zawdzięczaliśmy ocalenie.

Pew był martwy, martwy jak kamień. Co się tyczy mojej matki, to gdy zaniesiono ją do wioski i poczęto cucić zimną wodą oraz solami, przyszła wnet do siebie i bynajmniej nie odbił się na jej zdrowiu strach, chociaż nie przestawała narzekać na stratę należnych pieniędzy. Tymczasem komisarz ruszył galopem w stronę „Pieczary Kitta”, ludzie jego zaś zaczęli zsiadać z koni i przekradać się do parowu¹⁶, prowadząc, a niekiedy ciągnąc za sobą swe wierzchowce, w ciągłej obawie zasadzki. Toteż nie było wielką niespodzianką, gdy dotarłszy do jaskini zastali lugier¹⁷ już w drodze, choć w niewielkiej odległości. Komisarz huknął na załogę. Jakiś głos zawołał, żeby zszedł im z oczu, bo go poczęstują ołowiem; w tejże chwili kulka świsnęła mu tuż obok ramienia. Lugier zdwoił swą chyżość i niebawem znikł. Pan Dance stał i jak się wyraził, był podobny do ryby wyrzuconej z wody; jedyną rzeczą, którą mógł uczynić, było wysłanie jednego ze strażników do B..., żeby zawiadomić stojący tam kuter.

– I to zresztą – nadmieniał – na nic się nie przyda. Dali drapaką i na tym koniec! – Słyszając zaś moją opowieść dodał:

– Cieszę się przynajmniej, że wreszcie przydeptałem nagniotki sławetnemu Pew.

Powróciłem w jego towarzystwie „Pod Admirala Benbow”. Trudno sobie przedstawić obraz większego spustoszenia! Nawet zegar strącili na ziemię ci złoczyńcy w swym zajadłym polowaniu na mnie i moją matkę. Pomimo że nie skradziono niczego oprócz sakiewki kapitana i drobnej ilości srebra z szufłady, to jednak od razu poznałem, że jesteśmy doprowadzeni do ruiny. Komisarz Dance nie mógł nic zrozumieć z tej sceny.

– Przecież znaleźli pieniądze, jak sam mówiłeś? Powiedz mi więc, Hawkins, czego tu jeszcze oni szukali? Zapewne jeszcze innych pieniędzy?

– Nie, panie! – odpowiedziałem. – Zdaje mi się, że nie szukali pieniędzy. Jestem przekonany, że przedmiot ich poszukiwań mam w kieszeni za pazuchą, a prawdę powiedziawszy powinienem go oddać w bezpieczne przechowanie.

– Oczywiście, chłopcze, masz słuszość – odrzekł. – Mogę go wziąć, jeśli chcesz.

– Sądziłem, że może doktor Livesey... – zacząłem mówić, lecz ów przerwał wesołym tonem.

– Ależ zupełnie słusznie! To człek dostojnie urodzony i urzędnik! Wszelako przyszło mi na myśl, że mógłbym konno prędko tam zajechać i doręczyć jemu albo dziedzicowi. Imci Pew zginął w tym całym zajściu, nie żał mi go, lecz ludzie, gdy tylko mogą, ostrzą sobie zęby na urzędnikach celnych jego królewskiej mości i teraz z jego śmierci uknują zarzut przeciwko mnie, jeżeli się im uda. Wobec tego wiesz co, mości Hawkins, jeżeli pozwolisz, zabiorę cię z sobą na świadka.

Podziękowałem mu serdecznie za tę usługę i wróciliśmy do wsi, gdzie stały konie. Ledwo zdążyłem opowiedzieć matce o swych zamiarach, już wszyscy strażnicy byli na siodłach.

– Dogger! – rzekł pan Dance do jednego z nich – masz dobrego konia, posadź za sobą tego zucha.

Gdy siedziałem już na koniu, trzymając się pasa Doggera, komisarz wydał komendę i oddział pomknął w cwał gościńcem wiodącym ku domowi doktora Liveseya.

¹⁶ *parów* – dolina o płaskim dnie i stromych, porośniętych roślinnością zboczach. [przypis edytorski]

¹⁷ *lugier* – mały statek rybacki. [przypis edytorski]

VI. Papiery kapitana

Jechaliśmy rączo przez całą drogę, aż zatrzymaliśmy się przed bramą domu doktora Liveseya. Całe mieszkanie od frontu pogrążone było w ciemności.

Komisarz Dance poprosił mnie, żebym zeskoczył i zapukał do drzwi, a Dogger podał mi strzemień do zsiadania. Za chwilę otworzyła służąca.

– Czy zastaliśmy doktora Liveseya? – zapytałem. Odpowiedziała, że nie ma go w domu; wprawdzie po południu wpadł do siebie, lecz później udał się do dworu, gdzie miał zostać na wieczerzy i pogawędzić z dziedzicem.

– A więc jedziemy tam, chłopcy! – zakomenderował pan Dance.

Tym razem, ponieważ odległość była nieznaczna, nie wsiadłem na konia, lecz biegłem przy strzemieniu Doggera. Minąwszy bramę wjazdową znaleźliśmy się w długiej, bezlistnej, księżycowym światłem oblanej alei, którą zamykała biała smuga zabudowań dworskich, odcinająca się na tle starego parku leżącego z obu stron. Pan Dance zsiadł z wierzchowca i wziął mnie z sobą do pałacu.

Wpuszczono nas tam na pierwsze słowo. Pokojówka poprowadziła nas przez sień wysłaną kobiercami i wskazała nam w końcu wielką bibliotekę, zastawioną szafami pełnymi książek i ozdobionymi popiersiami.

Dziedzic wraz z doktorem Liveseyem siedzieli po dwóch stronach płonącego kominka kurząc fajki.

Nigdy dotychczas nie widziałem dziedzica z tak bliska. Był on wzrostu słusznego, ponad sześć stóp wysokości, tęgi był w miarę; twarz miał jowialną¹⁸ i nieco rubaszną, opaloną, stwardniałą i pomarszczoną wskutek długich podróży. Brwi miał nadzwyczaj ciemne, żywo poruszające się, co nadawało mu pozory popędliwości – ale nie robił wrażenia człowieka złego, tylko raptusa i gorączki.

– Proszę wejść, panie Dance – powiedział tonem pełnym dostojności i łaskawym.

– Dobry wieczór, mości Dance – przemówił doktor skinąwszy głową. – I ciebie witam, kochany Jimie. Jakież bogi was tu przynoszą?

Komisarz stanął na baczność, jakby połknął kij, i wyrecytował całą historię jak zadaną lekcję. Warto było widzieć, jak obaj panowie pochylili się w przód i spojerali po sobie w zdumieniu i zaciekawieniu, zgoła zapomniawszy o fajce. Gdy posłyszeli, jak moja matka wracała do karczmy, doktor Livesey klepnął się mocno po udzie, dziedzic zaś krzyknął: „Brawo!” i złamał długi cybuch swej fajki na kracie kominka. Jeszcze zanim się to stało, pan Trelawney (zapewne pamiętacie, że było to nazwisko naszego dziedzica) powstał z krzesła i jał przechadzać się po pokoju, a doktor, jakby chciał lepiej słyszeć, zdjął napudrowaną perukę i siedział tak, wyglądając bardzo śmiesznie z głową pokrytą własnymi czarnymi, krótko ostrzyżonymi włosami.

Gdy pan Dance dokończył nareszcie swej opowieści, dziedzic odezwał się:

– Panie Dance, dzielny z pana człowiek! Co się tyczy przejechania tego czarnego, wstrętnego łajdaka, to panu ów postępek poczytuję za czyn chwalebny jak rozdeptanie karalucha. A z tego urwisa Hawkinsa, jak się przekonałem, też ćwik nie lada. Jimie, bądź tak dobry, zadzwoni tym dzwonkiem. Pan Dance musi napić się piwa.

– Słuchaj, Jim – rzekł doktor. – A masz ty ten przedmiot, na który ci łotrzy urządzali oblawę?

– Oto jest, panie doktorze! – odrzekłem podając mu ceratowe zawiniątko.

Doktor obejrzał je z wierzchu, jakby go palce świerbiły, by otworzyć paczuszkę; jednak zamiast to uczynić, włożył ją najspokojniej w świecę w kieszeń surduta.

– Panie dziedzicu – przemówił. – Pan Dance, skoro napije się piwa, będzie musiał niestety nas pożegnać, gdyż jest w służbie jego królewskiej mości. Mam jednak zamiar zatrzymać na nocleg w

¹⁸ jowialny – pogodny, dobroduszny. [przypis edytorski]

mym domu przynajmniej Jima Hawkinsa, a za pańskim pozwoleniem proponuję, by poczęstować go zimnym pasztetem i dać mu kolację.

– Jak pan chce, Livesey – zgodził się dziedzic. – Hawkins zasłużył na coś więcej niż na zimny pasztet.

Przyniesiono potężną porcję pasztetu z gołąbków i postawiono na bocznym stoliku; wziąłem się do jedzenia, aż mi się uszy trzęsły, bo głodny byłem jak wilk. Tymczasem pan Dance słuchał w dalszym ciągu pochwał, aż w końcu oddalił się.

– A teraz, dobrodzieju... – rzekł doktor.

– A teraz doktorze... – zaczął dziedzic jednocześnie.

– W tej samej chwili myślimy o tym samym – zaśmiał się doktor Livesey. – Przypuszczam, że pan słyszał o Flicie?

– Czy słyszałem? – oburzył się dziedzic. – Pan się pyta, czy o nim słyszałem? Wszak był to najstraszniejszy opryszek, jaki kiedykolwiek pływał po morzu! Sinobrody był dzieckiem w porównaniu z Flintem. Hiszpanie tak się go strasznie lękali, że mówię panu, nieraz byłem dumny z tego, iż był on Anglikiem. Na własne oczy widziałem jego żagle, gdyśmy odbili od Trinidad, a ten tchórzliwy opój, który dowodził statkiem, zawrócił... tak, powiadam panu, zawrócił do Port d'Espagne!

– No tak, ja sam nasłuchiwałem się o nim dosyć nawet w Anglii – rzekł doktor. – Lecz grunt w tym, czy miał on pieniądze?

– Pieniądze! – krzyknął dziedzic. – Czy pan słyszał tę historię przed chwilą? A czegoż, proszę, poszukiwali ci szubrawcy, jak nie pieniędzy? O cóż im kiedy chodziło, jak nie o pieniądze? Dla czegoż narażali swe łądackie ścierwa, jak nie dla pieniędzy?

– O tym zaraz się dowiemy – odparł doktor. – Ależ pan jest w gorącej wodzie kąpany i taki z pana krzykacz, że nie mogę dojść do słowa. Chcę się takiej rzeczy dowiedzieć: dajmy na to, że w mojej kieszeni znajdują się pewne wskazówki, gdzie Flint zakopał swoje skarby; otóż pragnąłbym się dowiedzieć, czy ten skarb ma wielką wartość?

– Wartość, pan mówi! – wybuchnął dziedzic. – Zaraz panu powiem, czego on dosięga. Jeżeli posiadamy ów klucz, o którym pan mówi, tedy każę zbudować okręt w stocznicach bristolskich, zabieram ze sobą pana i obecnego tu Hawkinsa i znajdę ów skarb, choćby mi przyszło rok go szukać.

– Wyśmienicie – rzekł doktor. – Zatem, jeżeli Jim pozwala, otworzę tę paczkę.

To powiedziawszy położył paczkę przed sobą na stole. Była zszyta, więc doktor wydobyl skrzynkę z narzędziami i rozciął szwy za pomocą nożyczek chirurgicznych. Paczka zawierała dwa przedmioty: zeszyt i ćwiartkę zapieczętowanego papieru.

– Najpierw zbadamy zeszyt – zauważył doktor.

Dziedzic i ja staliśmy za nim i spoglądaliśmy poprzez jego ramię, gdy otworzył zeszyt; ponieważ doktor Livesey skinął był na mnie uprzejmie, ażebym podszedł bliżej od stołu, gdzie spożywałem wieczerzę i abym również wziął udział w badaniu. Na pierwszej stronie było jedynie kilka gryzmołów, jakie mógł nakreślić z nudów lub dla wprawy człowiek mający pióro w ręce. Jeden z napisów był taki sam jak na tatuowanym ramieniu: „Billy Bones, dla fantazji”; dalej szły słowa „B. Bones, marynarz”, „Ani krzty rumu więcej”, „W Palm Key on dostał tego” – i kilka innych bazgroł, przeważnie oderwane wyrazy bez związku i sensu. Nie mogłem żadną miarą dojść do zrozumienia, kim był ów ktoś, co „dostał tego” i co mianowicie on dostał. Może nożem w plecy? Kto odgadnąć zdoła?

– Nie ma tu żadnych objaśnień – rzekł doktor Livesey odwracając kartkę.

Następne dziesięć czy dwanaście stron było wypełnionych szeregami dziwnych zapisków. Na początku każdej linijki była data, a na końcu suma pieniężna, jak w zwykłych księgach rachunkowych, lecz pomiędzy jednym a drugim zamiast wyrazów objaśniających znajdowały się jedynie krzyżyki w najrozmaitszej ilości. Na przykład, pod datą 12 czerwca 1745 roku zanotowano sumę siedemdziesięciu funtów, oznaczającą niewątpliwie dług zaciągnięty u kogoś, a ponadto nie

było nic oprócz sześciu krzyżyków stanowiących jakby dalsze wyjaśnienie. W niewielu wypadkach dodawano zapewne nazwę miejscowości, jak na przykład: „W pobliżu Caracas”, albo też suchą notatkę o długości i szerokości geograficznej, na przykład: 62° 17' 20”, 19° 20' 40”.

Spis obejmował mniej więcej dwadzieścia lat, a wysokość poszczególnych rachunków wzrastała z biegiem czasu; na samym końcu, po pięciu czy sześciu błędnych dodawaniach, umieszczono wynik ogólny oraz słowa: „Bones, jego mienie”.

– Nie mogę tu związać początku z końcem – rzekł doktor Livesey.

– Eee! sprawa jest jasna jak słońce! – zawołał dziedzic. – Jest to księga rachunkowa tego przeokrutnego złoczyńcy. Te krzyżyki zastępują nazwy okrętów lub miast, które oni zatopili czy złupili; te sumy stanowią zdobycz tego obwiesia, a tam gdzie obawiał się dwuznaczności, widzicie, że dodał bliższe objaśnienie. Na przykład: „W pobliżu Caracas”; widzicie, do tych wybrzeży łotrzy przyholowali jakiś nieszczęsny statek. Boże, bądź miłościw tym biednym duszom, które przed laty wysadzono na tej koralowej skale...

– Ma pan rację! – rzekł doktor. – Co to znaczy być podróżnikiem! Trafnieś pan odgadł! A widzi pan, jak sumy rosną, im więcej kolumny mają cyfr!

Ponadto nie było już nic ważnego w całym zeszycie, co najwyżej na czystych stronicach przy końcu znajdowało się kilka wzmianek o różnych miejscowościach oraz tabela zamiany pieniędzy francuskich, angielskich i hiszpańskich na walutę obiegową.

– A to ci kutwa! – zawołał doktor. – Takiego to nie łatwo w pole wywieść!

– Teraz zabierzemy się do drugiego dokumentu! – rzekł dziedzic.

Papier w kilku miejscach był zapieczętowany, a zamiast pieczątki użyto naparstka; może był to ten sam naparstek, który znalazłem w kieszeni kapitana. Doktor z wielką ostrożnością przełamał pieczęcie, a ze środka złożonej ćwiartki wypadła mapa jakiejś wyspy, z podaniem długości i szerokości geograficznej, mielizn i głębi, nazw wzgórz, zatok i przystani – słowem, ze wszystkimi szczegółami potrzebnymi do bezpiecznego zarzucenia kotwicy u jej brzegów. Wyspa ta miała około dziewięciu mil wzdłuż i pięciu wszerz, a kształt jej, rzec można, przypominał opasłego smoka w postawie stojącej; były tam dwie przystanie bardzo dogodne, bo zamknięte dokoła, a pagórek w samym środku nosił nazwę „Lunety”. Było jeszcze kilka dopisków z daty późniejszej, lecz przede wszystkim były tam trzy krzyżyki nakreślone czerwonym atramentem – dwa w północnej części wyspy, a jeden na południu, koło nich zaś tym samym czerwonym atramentem i drobnym pięknym pismem, wielce odmiennym od koślawych kulfonów kapitana, wypisano słowa następujące: *Tu znajduje się skarb.*

W górze na odwrotnej stronie ta sama ręka wypisała dalsze objaśnienia:

Wysokie drzewo, cypel »Lunety«, kierując się na Pn. od strzałki kompasu Pn.
Pn. W. Wyspa Szkieletów W. Pd. W. i przez Wsch.

Dziesięć stóp.

Sztaby srebra są w północnej skrytce; można je znaleźć idąc w kierunku wschodniej grani, dziesięć sążni na południe od czarnej skały, zwróciwszy się twarzą ku niej.

Broń można łatwo znaleźć na piaskowym wzgórzu, kierunek Pn. od przyładka północnej zatoki, zwrot na W. i ćwierć Pn.

J. F.

Było to wszystko, lecz objaśnienia, acz zwięzłe i niezrozumiałe dla mnie, napęłniały radością dziedzica i doktora Liveseya.

– Mości Livesey – rzekł dziedzic – dasz pan już spokój swej utrapionej praktyce lekarskiej. Jutro odjeżdżam do Bristolu. W ciągu trzech tygodni – co mówię, trzech tygodni! dwóch tygodni, dziesięciu dni – będziemy mieli najlepszy statek i najlepszą załogę w Anglii. Hawkins pojedzie z nami jako chłopiec okrętowy; będziesz, imć Hawkinsie, świetnym chłopcem okrętowym. Waszmość, panie

doktorze, będziesz lekarzem naszej załogi, a ja będę dowódcą okrętu. Weźmiemy z sobą Redrutha, Joyce'a i Huntera. Będziemy mieli pomyślne wiatry, szybką jazdę i niewiele trudności w znalezieniu owej miejscowości, a za to dosyć grosza, by dobrze sobie podjeść, zaproszyć głowy i zagrać w gąskę i gąsiora.

– Panie Trelawney – wtrącił doktor. – Ja pojedę z panem i ręczę, że i Jim tego samego sobie życzy; bądźmy więc dobrej myśli co do naszego przedsięwzięcia. Boję się tylko jednego człowieka...

– Któż to taki? – krzyknął dziedzic – Proszę mi powiedzieć imię tego niegodziwca!

– Mówię o panu – odpowiedział doktor – gdyż nie umiesz trzymać języka za zębami. Nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy wiedzą o tym papierze. Ci hultaje, którzy napadli dziś w nocy na karczmę (bez wątpienia zuchwali i niemający nic do stracenia rębacze!) i inni, którzy znajdowali się na pokładzie wiadomego statku (a śmiem przypuszczać, że jest ich więcej w pobliżu), spiknęli się wszyscy, żeby zdobyć te pieniądze. Musimy się nieco rozłączyć, aż do czasu gdy przyjdzie nam odpłynąć na morze. Jim musi na razie pozostać u mnie; pan weźmie Joyce'a i Huntera i odjedzie do Bristolu, a od początku do końca nie wolno nikomu z nas pisnąć ani słowa o tym, cośmy odkryli.

– Livesey! – rzekł dziedzic – masz pan zawsze słusność w takich wypadkach. Będę milczał jak grób.

Część druga. Kucharz okrętowy

VII. Jadę do Bristolu

Wbrew przypuszczeniom dziedzica sporo wody upłynęło, zanim byliśmy gotowi do żeglugi, przy tym nie ziścił się po naszej myśli żaden z pierwotnych zamiarów, nawet zamiar doktora Livesey'a, by mnie zatrzymać przy sobie. Doktor musiał wyjechać do Londynu, żeby tam spełniać obowiązki swego zawodu; dziedzic miał wiele pracy w Bristolu, ja zaś mieszkałem we dworze pod opieką starego Redrutha, leśnika dworskiego. Tu prowadziłem życie pustelnicze, ale pełne marzeń o morzu oraz najrozkoszniejszych rojeń o nieznanach wyspach i przygodach. Godzinami całymi dumałem o mapie, której wszystkie szczegóły pamiętałem dokładnie. Siedząc przy kominku w pokoju gospodyni zbliżałem się wyobraźnią do tej wyspy, wdrapywałem się po tysiące razy na ów wysoki pagórek zwany „Lunetą”, a z jego wierzchołka podziwiałem najczarowniejsze i zmieniające się widoki. Niekiedy wyspa była zaludniona przez dzikusów, z którymi staczaliśmy walki; kiedy indziej roiła się od drapieżnych zwierząt, które nas ścigały. Pomimo to we wszystkich tych majaczeniach nigdy nie zdarzyło mi się nic tak dziwnego i straszego jak przygody, które nam przyszło przeżywać na jawie.

Mijał tydzień po tygodniu, aż pewnego pięknego poranka nadszedł list adresowany do doktora Livesey'a i opatrzony uwagą: *W razie jego nieobecności otworzy Tom Redruth lub młody Hawkins*. Stosując się do tego polecenia znaleźliśmy – ściśle mówiąc, znalazłem ja, gdyż leśnik był nietęgi w piśmie i znał się jedynie na literach drukowanych – następujące ważne nowiny:

Bristol, gospoda „Pod Starą Kotwicą”, 1 marca 17...

Kochany Livesey'u!

Ponieważ nie wiem, gdzie Waćpan się obracasz, czy we dworze, czy w Londynie, więc posyłam list niniejszy w dwu egzemplarzach w oba miejsca.

Okręt już kupiony i wyporządkowany. Stoi na kotwicy gotów do drogi. Pewno sobie Pan nie wyobrażał nigdy piękniejszego szonera¹⁹ – dziecko mogłoby na nim żeglować. Pojemność dwieście ton; nazywa się „Hispaniola”.

Nabyłem ten statek za pośrednictwem starego przyjaciela, Blandly'ego, który sam wypróbował należycie to zachwycające cacko. Czcigodny wiarus wprost zaprzedał się w mą służbę i mogę powiedzieć, że wszyscy w Bristolu prześcigają się w uprzejmości dla mnie; skoro tylko doczekamy się wiatru pozwalającego na odbicie od lądu, wyruszymy, jak mniemam, na poszukiwanie skarbów!

– Panie Redruth! – odezwałem się przerywając czytanie – doktor Livesey nie będzie zadowolony. Jaśnie pan wszystko wygadał...

– No, no, kto miał rację – burknął leśnik. – Zdaje mi się, że byłoby rzeczą dziwną, gdyby jaśnie pan nie wygadał wszystkiego doktorowi Livesey'owi.

Słyszac to, już nie kusiłem się o komentarze, lecz czytałem jednym tchem dalej:

Sam Blandly wynalazł „Hispaniolę” i dzięki zadziwiającemu sprytowi nabył ją za bajecznie niską cenę. W Bristolu nie brak ludzi zażarcie uprzedzonych do Blandly'ego. Ci nie wahają się mówić w oczy, że to chłopisko pocziwe z kośćmi dopuściło się szalbierstwa, jako że „Hispaniola” była jego własnością, a on sprzedał mi za cenę wyśrubowaną do niemożliwości – wszystko to najoczywistsza potwarz. Nikt z nich w każdym razie nie śmie odmówić okrętowi wielkich zalet.

¹⁹ szoner – statek o skośnym ożaglowaniu. [przypis edytorski]

Aż dotąd nie miałem trudności. Wprawdzie robotnicy – cieśle okrętowi i jak się tam jeszcze zowią – marudzili wstrętnie przy pracy, jednak czas zrobił swoje. Kłopot mi sprawiało jedynie zdobycie załogi.

Chciałem mieć liczną drużynę – na wypadek spotkania z krajowcami, z korsarzami lub szelmami Francuzami. Gotów już byłem iść choćby do samego diaska, żeby znaleźć z pół tuzina wiarusów, gdy wtem nadzwyczajny zbieg okoliczności nastreczył mi człowieka, jakiego mi było potrzeba.

W rozmowę z nim wdałem się przypadkowo, bawiąc w stocznii. Dowiedziałem się, że był marynarzem, obecnie zaś jest właścicielem szynku i zna wszystkich marynarzy w Bristolu. Pobyt na ładzie oddziaływa niekorzystnie na jego zdrowie, więc stary wilk morski chciałby otrzymać miejsce kucharza na okręcie, aby znów pojeździć po odmętach. Przywłókł się tu rano o kulach, żeby jak mówi, poczuć zapach słonego powietrza.

Wzruszyło mnie to niezmiernie – i sędzę, że pan również byłby przejęty – więc ze szczerego współczucia zwerbowałem go prosto z mostu na kucharza okrętowego. Nazywa się Długi John Silver i jest pozbawiony jednej nogi, co wszakże uważam za chlubę, gdyż postradał ją w służbie ojczyzny, pod dowództwem nieśmiertelnego admirała Hawke. Za swe zasługi nie otrzymuje zgoła wynagrodzenia; wyobraź sobie Pan, Kochany Panie Livesey, w jakim to okropnym wieku żyjemy.

No, mociumpanie, myślałem, że znalazł tylko kucharza, ale wnet potem jak spod ziemi wyrosła mi cała załoga! Przy pomocy Silvera zebrałem w ciągu kilku dni zastęp starych marynarzy, najwytrawniejszych, jakich można sobie wyobrazić; na pierwszy rzut oka mogą się nie podobać z wyglądu, lecz z twarzy ich poznać można ducha nieulekłego. Twierdzę, że dalibyśmy radę fregacie²⁰.

Długi John odprawił także dwu majtków z liczby sześciu czy siedmiu, których umówiłem poprzednio. Dowiódł mi, że są to nowicjusze, nieobeznani z wodą morską, którzy w razie poważnego niebezpieczeństwa byliby nam kulą u nogi. Jestem w pełni zdrowia i dobrej myśli. Jem jak wół, śpiam twardo jak kamień, jednego mi tylko braknie do szczęścia, a mianowicie: bym już nareszcie posłyszał dreptanie moich marynarzy przy kołowrocie kotwicy. Hej, na morze! Co mi tam skarby! Sława morska nęci mnie więcej niż one! Dalej więc, mości Livesey'u, przybawaj co rychlej i nie trać ani godziny, jeżeli żywisz respekt dla mnie!

Młody Hawkins niech zaraz pod opieką Redrutha pójdzie pożegnać się z matką, następnie, niech obaj stawią się czym prędzej w Bristolu.

John Trelawney

Postscriptum. Nie wspomniałem jeszcze, że ów Blandly, który mówiąc nawiasem, obiecał przysłać nam w odwodzie drugi okręt, jeżeli nie wrócimy z końcem sierpnia – wyszukał nam doskonałego szypra²¹, który jest wprawdzie człowiekiem sztywnym, czego żałuję, ale pod innymi względami jest skarbem. Długi John Silver wytrzasnął skądś biegłego i doświadczonego szturmana²², nazwiskiem Arrow. Mam bosmana²³, który jest namiętym fajczarzem, co Pana pewno ucieszy, Kochany Panie Livesey. W ten sposób nasza miła „Hispaniola” będzie się prezentowała niczym okręt wojenny.

²⁰ *fregata* – wielki żaglowiec, posiadający od trzech do pięciu masztów z ozaglowaniem rejowym oraz nawet do sześciu pięter żagli. [przypis edytorski]

²¹ *szyper* – dowódca statku, kapitan. [przypis edytorski]

²² *szturman* – drugi oficer na statku; oficer nawigacyjny. [przypis edytorski]

²³ *bosman* – najstarszy stopniem podoficer na statku, bezpośrednio kierujący załogą. [przypis edytorski]

Zapomniałem opowiedzieć panu, że Silver jest człowiekiem mającym, a przekonałem się, że ma nieprześcigniony zmysł kupiecki. Zostawia żonę, aby w jego zastępstwie prowadziła szynk; ponieważ jest to kobieta kolorowa, więc takim dwóm starym kawalerom jak pan i ja można wybaczyć przypuszczenie, że go ta żona, w równym stopniu jak i zdrowie, skłania do ponownej włóczęgi.

J. T.

Postscriptum. Hawkins może spędzić jedną noc u matki.

J. T.

Możecie sobie wyobrazić podniecenie, jakiemu uległem po odczytaniu tego listu. Nie posiadałem się z radości i niemal odchodziłem od zmysłów; jeżeli czułem kiedy dla kogokolwiek wzgardę, to dla starego Toma Redrutha, który umiał tylko zrędzić i narzekać. Niejeden z leśniczych chętnie by się z nim zamienił; cóż jednak zrobić, że tak właśnie rozporządził jaśnie pan, a wola jaśnie pana była dla nich prawem. Nikt też z wyjątkiem starego Redrutha nie miał nawet tyle odwagi, by sarkać²⁴.

Nazajutrz rano wyruszyłem piechotą „Pod Admirala Benbow”, gdzie zastałem matkę w dobrym zdrowiu i usposobieniu. Kapitan, który tak długo był powodem wielu naszych zgryzot, odszedł już tam, gdzie nawet złoczyńcy przestają mącić wodę. Dziedzic kazał ponaprawiać to i owo, przemałować pokoje gościnne i tablicę, a nawet podarował nieco sprzętów – zwłaszcza prześlizny fotel dla mojej matki, który dziś stoi w szynkowni. Wynałazł jej również chłopaka do posług, tak iż miała wyrękę podczas mej nieobecności.

Patrząc na tego chłopaka uprzytomniłem sobie po raz pierwszy własne położenie. Dotychczas myślałem wyłącznie o nadchodzących przygodach, a wcale nie o domu, który miałem opuścić, teraz na widok tego niezdarnego przybłądy, który miał zająć moje miejsce przy matce, po raz pierwszy łzy puściły mi się z oczu. Mam wyrzuty sumienia, że nadto dokuczałem temu chłopcu, traktując go jak kundla podwórzowego; był on jeszcze niewprawny w robocie, miałem więc sposobność, by go strofować i popychać, i nie zaniedbałem żadnej.

Przeszła noc, a na drugi dzień po obiedzie znów obaj z Redruthem puściliśmy się pieszo w drogę. Powiedziałem „do widzenia!” matce i zatoce, nad którą żyłem od urodzenia, i staremu drogiemu „Admiralowi Benbow”, który już mi mniej był drogi, odkąd go przemałowano. Jedną z ostatnich mych myśli było wspomnienie o kapitanie, który tak często wałęsał się po wybrzeżu w swym wystrzępionym kapeluszu stosowanym²⁵, ze starą mosiężną lunetą, z policzkiem pokiereszowanym od szabli. Niebawem minęliśmy zakręt drogi i strony rodzinne znikły mi z oczu.

Już się zmierzchało w pustkowiu, gdy wsiedliśmy do dyliżansu przy zajeździe „Pod Królem Jerzym”. Wcisnąłem się między Redrutha i otylego, podeszłego już w lecicach²⁶ jegomościa; pomimo szybkiej jazdy i nocnego chłodu musiałem zrazu tego zadrzemać, a następnie chrapnąć snem kamiennym, podczas gdyśmy mijali góry, doliny i postój za postojem – skoro bowiem szturchnięty przez kogoś w żebra, obudziłem się i podniosłem powieki, zobaczyłem, że jesteśmy przed wielkim gmachem na ulicy jakiegoś miasta, a słońce świeci już wysoko na niebie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– W Bristolu – usłyszałem głos Toma. – Wyłaż, śpiochu!

Pan Trelawney zakwaterował się w odległej gospodzie, aż koło stoczni, aby doglądać roboty na statku. Zwróciliśmy tam kroki. Ku wielkiej mej ucieście droga nasza wiodła wzdłuż nadbrzeża, gdzie sterczał istny las okrętów przeróżnych rozmiarów oraz o najrozmaitszym takielunku²⁷ i

²⁴ *sarkać* – wyrażać głośno niezadowolenie z czegoś. [przypis edytorski]

²⁵ *stosowany kapelusz* – trójkatny kapelusz zwany inaczej pierogiem. [przypis redakcyjny]

²⁶ *leciech* – dziś popr. forma Ms. Im: latach. [przypis edytorski]

²⁷ *takielunek* – omasztowanie i olinowanie statku. [przypis redakcyjny]

przynależności państwowej. Na jednych z nich żeglarze śpiewali przy pracy, na drugich wysoko nad mą głową wdrapywali się ludzie po linach, które wydawały się cienkie jak nitki pajęczce. Choć całe życie dotychczas spędziłem nad morzem, to jednak miałem wrażenie, że nigdy nie znajdowałem się tak blisko morza jak wówczas. Woń smoły i soli była dla mnie jakby nowością. Widziałem tu najosobliwsze istoty ludzkie, przybywające z najodleglejszych krain za oceanem. Widziałem również wielu starych marynarzy z kolczykami w uszach, z bokobrodami trefionymi w kędziory i z zasmolonymi harcapami, idących butnie niezgrabnym krokiem ludzi morza; nie mógłbym się więcej zachwycać, gdybym widział tłum królów czy arcybiskupów.

I ja sam też wybierałem się na morze. Na statku był bosman kurzący fajkę i śpiewający marynarze z harcapami. Wybierałem się w drogę ku nieznaney wyspie, na poszukiwanie zakopanych skarbów!

Gdy jeszcze oddawałem się tym błogim marzeniom, doszliśmy nagle do dużej karczmy i ujrzelśmy pana Trelawney'a ubranego od stóp do głów jak oficer marynarki, w grube granatowe sukno, uśmiechniętego i zdążającego ku nam przepysznie naśladowanym krokiem żeglarskim.

– Witam was, witam! – zawołał. – Doktor również przybył tej nocy z Londynu. Brawo! Załoga okrętowa stawiała się co do jednego!

– O panie łaskawy! – wykrzyknąłem. – Kiedy odpływamy?

– Kiedy odpływamy? – powtórzył. – Jutro podnosimy kotwicę!

VIII. „Pod Lunetą”

Gdy zjadłem śniadanie, dziedzic wręczył mi pismo adresowane do Johna Silvera w karczmie „Pod Lunetą” i objaśnił, że znajdę łatwo to miejsce, idąc wzdłuż stoczni i wypatrując małej gospody, mającej za godło wielką mosiężną lunetę. Ruszyłem w drogę, uradowany sposobnością bliższego przyjrzenia się okrętom i żeglarzom, i począłem przeciskać się między gawiedzią ludzką, wózkami i pakami, gdyż była to pora, kiedy w stoczni panuje najbardziej ożywiony ruch.

Wreszcie znalazłem karczmę, o którą chodziło; był to dość wesoły, mały lokal rozrywkowy. Wywieszka była świeżo malowana, w oknach widniały przyzwoite czerwone firanki, podłogę wysypano czystym piaskiem. Po obu stronach ciągnęła się ulica i drzwi otwarte były na przestrzał, dzięki czemu, mimo kłębow dymu tytoniowego, można było dokładnie przyjrzeć się obszernej, niskiej świetlicy.

Gośćmi byli przeważnie marynarze, którzy rozmawiali głosami tak podniesionymi, że zatrzymałem się w drzwiach, prawie lękając się wejść.

Gdy się tak wahałem, z bokówki wyszedł człowiek, w którym na pierwszy rzut oka poznałem Długiego Johna. Miał lewą nogę uciętą pod samym biodrem, a pod lewą pachą trzymał szczudło, którym posługiwał się z nadzwyczajną zręcznością, skacząc na nim jak ptaszek. Był niezmiernie wysoki i tegi, twarz miał wielką jak szynka, wprawdzie brzydką i bladą, lecz rozsądną i uśmiechniętą. Zdawało się doprawdy, że ma nader wesołe usposobienie, gdyż wciąż chodził pośród stołów, pogwizdywał, a co ulubieńszych gości obdarzał żartobliwym słowem lub klepał po ramieniu.

Prawdę mówiąc, kiedy wyczytałem pierwszą wzmiankę o Długim Johnie w liście wielmożnego pana Trelawneya, zrodziła się we mnie obawa, że może to być ten sam żeglarz o jednej nodze, na którego tak długo czatowałem pod starym „Benbow”. Lecz dość było jednego spojrzenia na człowieka przede mną. Widziałem kapitana i Czarnego Psa, i ślepego Pew, więc zdawało mi się, że wiem, jak wygląda rozbójnik morski. Według mego zdania, korsarz musiał być istotą zupełnie odmienną od tego schludnego i dobrodusznego oberżysty.

Zebrałem się na odwagę, przestąpiłem próg i skierowałem się wprost do tego człowieka, który stał wsparty na szczudle, rozmawiając z jednym z klientów.

– Wszak mówię z panem Silverem? – zapytałem trzymając w ręce pismo.

– Tak jest, mój chłopcze – odparł ów – rzeczywiście tak się nazywam. A kimże ty jesteś?

Skoro obejrzał list dziedzica, wykonał ruch taki, jak gdyby chciał podskoczyć, i rzekł głośno, wyciągając rękę:

– No, teraz to już wiem! Jesteś naszym nowym chłopcem okrętowym. Bardzo mi przyjemnie cię poznać!

I ścisnął mą dłoń w swej szerokiej, silnej garści.

Właśnie w tej samej chwili porwał się z miejsca jeden z gości siedzących opodal i zmierzał ku drzwiom. Znajdowały się tuż niedaleko, więc niezwłocznie wypadł na ulicę. Pośpiech jego ściągnął na siebie moją uwagę, toteż poznałem zbiega za pierwszym spojrzeniem. Był to ten sam człowiek o bladej twarzy, pozbawiony dwóch palców, który niegdyś przybył „Pod Admirala Benbow”.

– Ojej! – krzyknąłem – zatrzymajcie go! To Czarny Pies!

– Nic mnie to nie obchodzi, kim on jest – zawołał Silver – ale on nie zapłacił rachunku! Harry, biegnij za nim i złap go!

Jeden z tych, którzy siedzieli najbliżej drzwi, poskoczył i puścił się w pogoń.

– Choćby to był sam admirał Hawke, musi mi zapłacić należność! – krzyczał Silver, a potem wypuszczając mą dłoń zapytał:

– Jak go nazwałś? Czarny...?

– Pies, proszę pana – odpowiedziałem. – Czy pan Trelawney nie opowiadał panu nigdy o korsarzach? Ten człowiek był jednym z nich.

– Tak? – Rozjątrzył się Silver. – W moim domu! Ben, biegnij z pomocą Harry'emu, to był jeden z tych szachrajów! Morgan, czy to ty z nim piłeś? Chodź no tu!

Mężczyzna nazwany Morganem, stary, szpakowaty, smagły marynarz, wysunął się naprzód bojaźliwie i kręcił w palcach prymkę tytoniu. Długi John rzekł bardzo surowo:

– Morgan, powiedz mi szczerze, czy widziałeś kiedy przedtem tego Czarnego... Czarnego Psa?

– Nigdy, panie – odrzekł Morgan z ukłonem.

– A czy znałeś jego nazwisko?

– Nie, panie!

– Na miły Bóg, Tomie Morganie, twoje szczęście! – zawołał gospodarz. – Gdybyś się wdawał w komitywę z takim hultajem, to nie dopuściłbym, żeby twoja noga powstała w moim domu... za to ci ręczę. Ale cóż on mówił do ciebie?

– Nie wiem dokładnie, mój panie! – odpowiedział Morgan.

– Cóż to? Czy nie masz głowy na karku, czy też masz kurzą ślepotę na mózgu? – obruszył się Długi John. – Nie wiesz dokładnie co? Może przypadkiem nie wiedziałeś dokładnie, kto do ciebie mówi? Hę? No, wyśpiewaj wszystko, o czym on gadał – o żegludze, o kapitanach, o okrętach? Co to było?

– Opowiadał o przeciąganiu za karę na linie pod kilem²⁸ – odpowiedział Morgan.

– O... przeciąganiu pod kilem? Rzecz nader odpowiednia, za to ci ręczę. Wracaj na miejsce, głupie, Tomie.

Gdy Morgan potoczył się na swoje miejsce, Silver szepnął do mnie tonem poufałym, który mi się wydał bardzo pochlebny.

– Ten Tom Morgan jest człowiekiem uczciwym, lecz głupim.

Po czym głośno mówił dalej.

– Ale czy dowiemy się czegoś o tym... Czarnym Psie? Nie, doprawdy nie znam tego nazwiska, nigdy go nie słyszałem. Jednak świta mi coś w głowie... przecież ja widziałem już tego powsinogę. Przychodził tu nieraz ze ślepym żebrakiem...

– Tak, ma pan słuszność, on chodził z tym dziadem. Znam nawet tego ślepcę. Nazywa się Pew.

– Właśnie, właśnie – zawołał Silver, zupełnie już rozgorączkowany. – Pew! Tak się nazywał z pewnością! Wyglądał na wielkiego szubrawca, tak, tak! Jeżeli dogonimy tego Czarnego Psa, to będzie miła niespodzianka dla kapitana Trelawney'a! Ben biega wspaniale, mało który marynarz biega lepiej od niego. Powinien go dogonić, chwycić ptaszka w garść, jak mi Bóg miły! On opowiadał o przeciąganiu pod kilem! Ja go *przeciągnę!*

Przez cały czas, gdy wykrzykiwał te zdania, podrygiwał na szczudle po całej karczmie, walił ręką po stołach i tak wyraziście okazywał swe podniecenie, jak gdyby chciał przekonać sędziego z Old Bailey lub policjanta z Bow Street²⁹. W każdym razie spotkanie się z Czarnym Psem „Pod Lunetą” obudziło we mnie znów dawne podejrzenia, więc bacznie odtąd śledziłem naszego kucharza; był on jednak zanadto powściągliwy, zręczny i przebiegły, żebym mógł go na wskroś przeniknąć. Tymczasem wpadło do izby dwóch zdyszanych ludzi opowiadając, że w tłumie zgubili ślad i że ich przezywano złodziejami, więc ja powinienem zaświadczyć o niewinności Długiego Johna Silvera.

– Popatrz no, mości Hawkins – odezwał się tenże – przekłeta sprawa postawiła mnie w ciężkim położeniu, prawda? Co sobie o mnie pomyśli pan kapitan Trelawney? Ten śledź holenderski, wywłoka spod ciemnej gwiazdy, siedział pod moim rodzonym dachem, pił mój własny rum! Ty przybywasz tu i mówisz mi otwarcie, co się święci... a ja, niedołęga, pozwoliłem mu czmychnąć wobec nas wszystkich... w moich oczach! Mości Hawkins, musisz mnie usprawiedliwić przed kapitanem. Jeszcze jesteś małym brzdącem, ale już przebiegły i zręczny jak szczupak w wodzie.

²⁸ *kil* – wzdłużny element konstrukcyjny szkieletu statku; stępka belkowa. [przypis edytorski]

²⁹ *Old Bailey* – główny sąd londyński rozpatrujący sprawy kryminalne; na *Bow Street* w Londynie mieści się główna siedziba policji. [przypis redakcyjny]

Od razu to zmiarkowałem, skoroś tu zawitał. No, ale sam powiedz: cóż mogłem zrobić, mając kawał drewna zamiast nogi? Gdybym był jeszcze młodym marynarzem jak ongi, dopędziłbym tego łajdaka, usiadłbym mu na karku i obwiesiłbym go na pierwszej linii okrętowej... ale teraz...

Wtem urwał, a twarz mu sposepniała, jakby sobie coś przypomniął; nagle wybuchnął:

– Mój rachunek! Trzy szklanki rumu! Niech piorun mnie trzaśnie, przecież zapomniałem o rachunku!

I osunąwszy się na ławę, począł się śmiać, aż łzy mu spływały po policzkach. Śmiech ten i mnie się udzielił, a z wolna przyłączyli się do niego i inni, aż cała karczma rozbrzmiewała echem.

– No, ale też ze mnie istne cielę morskie! – rzekł w końcu karczmarz obcierając policzki. – Mości Hawkins, obydwaj musimy oprzytomnieć, gdyż dalibóg, jeszcze mnie nazywać będą chłopcem okrętowym. Ale chodź, trzeba coś tu poradzić, tak być nie może. Obowiązek to obowiązek, kamraci! Wdziwam stary kapeluszczyk i idę wraz z tobą do kapitana Trelawney'a, by złożyć mu raport o całej sprawie. Bo trzeba ci wiedzieć, młody Hawkinsie, że to sprawa poważna; ani ty, ani ja nie powinniśmy zbyt ufać swej odwadze. Ani ty, ani ja, mówię ci – nie wystarczy tu nawet przebiegłość nas obu! O, do kroćset! jak on mnie oszukał z tym rachunkiem!

Zaczął się znów śmiać tak serdecznie, że choć w całym zdarzeniu nie widziałem nic dowcipnego, musiałem powtórnie przyłączyć się do jego wesołości.

Podczas niedługiej przechadzki wzdłuż nadbrzeża zabawiał mnie rozmową w sposób niezmiernie zaciekawiający; opowiadał mi o najróżnorodniejszych okrętach, któreśmy mijali, o ich ożaglowaniu, pojemności i przynależności państwowej; objaśniał roboty, które się odbywały na statkach, ładowanie, wyładowanie i przygotowania do odjazdu. Co pewien czas wtrącał jakąś niedługą anegdotę marynarską albo powtarzał jakiś zwrot z gwary okrętowej, póki go sobie nie przyswoiłem. Rychło upewniłem się, że był to jeden z najlepszych marynarzy, jakich można sobie wyobrazić.

Gdy przybyliśmy do gospody, dziedzic i doktor Livesey siedzieli przy stole, dopijając ćwiartki piwa i wznosząc toast na cześć naszego statku; właśnie wybierali się na pokład szonera, aby obejrzeć cały jego takielunek.

Długi John opowiedział całe zdarzenie od początku do końca nadzwyczaj barwnie, choć trzymając się ściśle prawdy; po kilkakroć w ciągu opowiadania zwracał się ku mnie:

– Prawda, Hawkins, że tak było, jak mówię? – a ja zawsze potwierdzałem prawdziwość jego słów.

Obaj panowie bardzo żalowali, że Czarny Pies zdołał umknąć, lecz zgodziliśmy się, iż na to nie da się nic poradzić. Długi John wysłuchawszy pochwały wziął szcudło i oddalił się.

– Cała załoga ma się stawić na pokładzie dziś o czwartej po południu – wołał za nim dziedzic.

– Według rozkazu, panie! – odkrzyknął kucharz idąc dalej.

– No, mój panie – odezwał się doktor Livesey – na ogół nie mam wielkiego zaufania do pańskich odkryć, jednak przyznać muszę, że John Silver podoba mi się.

– To stary ćwik! – zawyrokował dziedzic.

– Wracając do rzeczy – dodał doktor – czy Jim może nam towarzyszyć na pokład?

– Ma się rozumieć, że może – zgodził się dziedzic. – Bierz kapeluszczyk, Hawkinsie, pójdziemy obejrzeć okręt.

IX. Proch i broń

„Hispaniola” znajdowała się w pewnym oddaleniu, więc musieliśmy przechodzić pod dziobami i dokoła ruf wielu innych okrętów, których liny już to ocierały się o nasz kil, już to zwieszały się nad naszymi głowami. Wreszcie jednak dotarliśmy do celu i wstąpiliśmy na pokład, gdzie nas powitał szturman nazwiskiem Arrow – stary, opalony żeglarz z kolczykami w uszach i zezowatym spojrzeniem. Był on z dziedzicem na stopie zażyłej i poufałej, a wkrótce zauważyłem, że zgoła odmienny był wzajemny stosunek pana Trelawney'a do szypra.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.